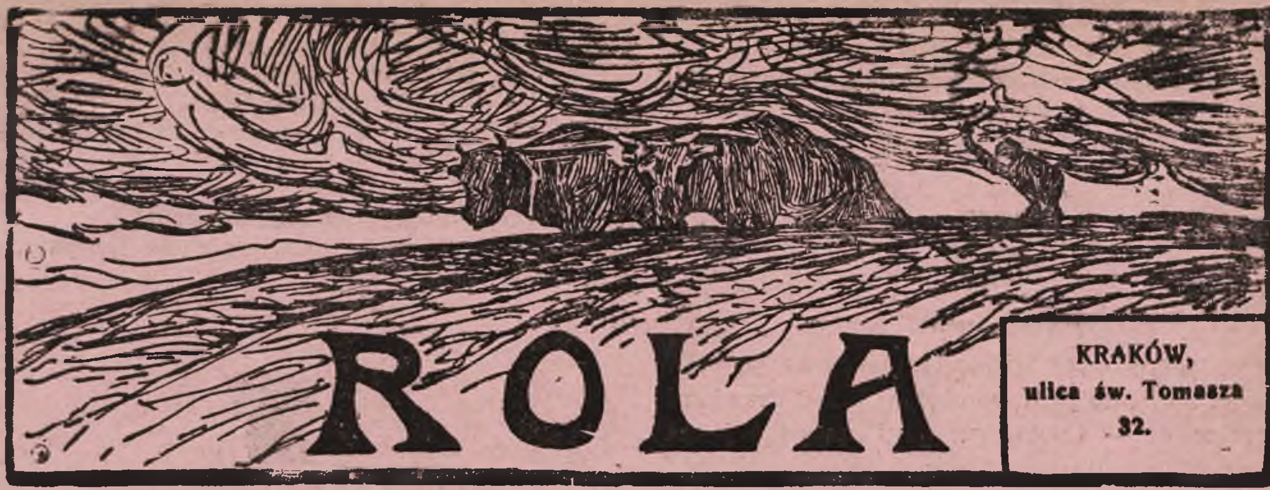
Numer 42. Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 14 Października 1928**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Logiczny wniosek.

— Wypijesz jeszcze kieliszek?

— Hm! Żołądek mój powiada: tak, a głowa nie! Ale głowa moja jest mędrszą, niż żołądek, a ponieważ mądry głupiemu ustępuje, więc napiję się jeszcze.



Sprytny agent.

Agent, sprzedający dzwonki alarmowe przeciw złodziejom, mówi do pani Dorobskiej przed drzwiami jej mieszkania: — Chciałbym pani sprzedać jeden z najlepszych wynalazków...

Pani Dorobska nie daje mu kończyć i rzecze: — Ale ja nie potrzebuję żadnego alarmu, — zaczynając przy tem zamykać drzwi.

— To właśnie, co mi powiedziała pani z sąsiedniego domu — odparł agent.

— Co to ma znaczyć? — zapytała z zaciekawieniem pani Dorobska. Nie nawidziła ona bowiem swej sąsiadki.

— Powiedziała mi — ciągnął dalej agent — że nie opłaci mi się iść do pani, bo pani nie potrzebuje alarmu na rabusiów, bo pani nic nie ma, na coby się rabuś chciał złaszczyć.

— Ona to powiedziała? — rzekła z oburzeniem pani Dorobska. To proszę mi sprzedać trzy alarmy.

Na targu przy zakupie.

— Panie rzeźnik, czy to pana szynki...

— Nie, paniusiu... wieprzowe.

Szklane oko.

— Mam szklane oko, czy może Pan zgadnąć, które to jest?

— Prawe.

— Znakomicie! Jak Pan to zgadł?

— Pańskie prawe oko jest wiele sympatyczniejsze, aniżeli lewe.



Gdyby wszyscy byli zapobiegliwi i oszczędni, nie byłoby bogatych ludzi na świecie.



U rzeźnika.

— Mr. Brown dlaczego pan został właściwie rzeźnikiem?

— Zawsze byłem przyjacielem zwierząt.

Numer 42. Rok XI. Kraków, dnia 14 Października 1928.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Co czytać?

Rolnik, zajęty od wczesnej wiosny aż do samej jesieni ciężką pracą na roli, zapomina niemal o wszystkiem, zapomina też o czytaniu. Ten i ów, bardziej zamiłowany w książkach i gazetach, zaglądnie do nich przynajmniej w niedzielę lub święto, reszta ludzi utrudzona przez cały dzień i w święto o nich nie pomyśli. Dopiero, gdy nadchodzi jesień, gdy wieczory stają się coraz dłuższe, coraz więcej przybywa zwolenników czytania. Ale niejeden z nich nie wie, co ma wziąć do ręki, aby czytaniem nie zatruć duszy, ale odnieść zeń prawdziwy pożytek. Namyśla się, waha i bardzo często na tem się kończy.

A przecież, chwała Bogu, w Polsce książek i gazet nam nie brak. Jest ich dość, ale cóż kiedy wśród rzeczy cennych nagromadziło się w literaturze naszej tyle śmiecia, że doprawdy nieraz długo grzebać trzeba, nim się coś odpowiedniego wyszuka. I, niestety, wydawcom dziwić się nie trzeba, że puszczają w świat zgniliznę moralną, bo oni drukują to, na co mają największy odbyt, a więc książki o taniej senzacji, przepełnione nieprzyzwoitościami, okropnościami, zbrodniami i t. p. Książek takich rozchodzi się dziesiątki tysięcy, a nakładca zgarnia zysk sowity. Czytelnik kupuje to śmiecie, odczytuje z zajęciem i ani mu na myśl nie przychodzi, że popełnia samobójstwo na własnej duszy.

Gdybyśmy książek takich nie brali do ręki, gdybyśmy je pędzili precz od siebie, to i wydawcy zaniechaliby drukowania ich, a przez to byłoby mniej rozsadników zgnilizny moralnej. Przecież i tak byłoby co czytać, bo nie brak w naszej literaturze pięknych powieści historycznych, podróżniczych, obyczajowych i innych, które tylko trzeba zacząć czytać, a które można polubić jeszcze więcej, aniżeli wszelkie romanse kryminalne. A będzie z tego podwójny pożytek, gdyż czytanie takie stanie się nietylko rozrywką, ale będzie również źródłem najrozliczniejszych wiadomości, które nam w życiu mogą przynieść nieocenione korzyści.

Zabierając się więc do czytania książek, trzeba przedewszystkiem znać ich tendencje, a poznawszy, starać się dobierać takie, które nie zapaskudzą naszego umysłu.

Trudniejsza rzecz jest z doborem gazet, bo niemal każda gazeta, szczególniej ludowa, ma za sobą całe rzesze zwolenników politycznych, którzy ją każdemu, czy chce, czy nie chce, do ręki wpychają. I gdybyż te tak zwane gazetki polityczne były naprawdę politycznemi, byłoby wszystko w porządku. Gdyby one informowały czytelników o tem, co się w świecie politycznym dzieje, gdyby zwalczały błędne stanowisko swoich przeciwników, gdyby wskazywały nowe drogi działalności, byłyby one prawdziwymi rozsadnikami wiedzy i obrońcami ludności. Ale cóż, kiedy te nasze tak zwane gazetki polityczne poza kilkunastu, a w najlepszym razie kilkudziesięciu wierszami rzeczy mniej lub więcej pożytecznych, są zbiornikiem pomyj, które się na głowy swoich bliźnich wylewa. Takie gazetki są źródłem zawiści, niosą one rozgoryczenie wśród synów naszej Ojczyzny i więcej przynoszą szkody, aniżeli pożytku.

O ile więc chcemy, aby w nas nie ugruntowała się nieufność wzajemna, zawiść społeczna i to po największej części niczem nie uzasadnione obryzgiwanie się wzajemne błotem, żądajmy od redaktorów naszych pisemek, aby zaprzestali karygodnej zabawki, a jeżeli nie uwzględnią naszego życzenia, pędźmy ich towar precz z naszej chaty.

Dobrą gazetę powinna cechować miłość bliźniego, a jeżeli tak, to nie powinno być w niej ujadań na bliźnich i szkalowań ich, choćby oni nawet błądzili.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Bitwa pod Raszynem.

Powieść historyczna.

I.

Dwór w Łęgonicach stał opustoszały. Właściciel jego umknął przed Austrjakami, którzy przyszli do Łęgonic rano i gotowali się za parę dni przejść Pilicę pod Nowem Miastem, żeby wkroczyć do Księstwa Warszawskiego. We dworze została tylko stara klucznica Boguszewska i przy koniach stary Marcin, niegdyś masztalerz, dziś starzec ledwo mogący powłóczyć nogami. A z tym dwojgiem ludzi pozostał jeszcze mały Janek, sierota, bratanek dziedzica.

Na łóżeczku w przestronym pokoju usiadł Janek, nie zapalając świecy, pomimo że już mrok zapadł dawno, i w głęboką pogrążył się zadumę. Wprost niego znajdowało się okno, przez które widział drzewa sadu, krwawo oświecone od wielkiego ogniska, jakie rozpalili w środku ogrodu żołnierze. W pokoju była cisza zupełna, ze dworu tylko dochodził jednostajny plusk deszczu, gwar żołnierzy i rozmowa oficerów z sąsiedniej komnaty. Przez uchylone drzwi widział Janek koniec szabli jednego z oficerów, wpatrywał się w nią i znużony miał już zasnąć, gdy nagle uderzyło jego słuch nazwisko księcia Poniatowskiego, wyrzeczone głośniej w sąsiednim pokoju przez oficerów.

Janek, który był chłopcem pojętnym i rozwiniętym nad swój wiek, wiedział dobrze, że książę Józef Poniatowski jest naczelnym wodzem wojsk Księstwa Warszawskiego, z któremi Austrjacy właśnie gotowali się prowadzić śmiertelną walkę. Zaciekawiony, co też mogą Austrjacy mówić o księciu, o którym od starego Marcina wiele słyszał, Janek podniósł głowę i nadstawił uszów. Oficerowie mówili głośno, nie spodziewali się zapewne, że ich kto słyszy, a chociaż rozmawiali po niemiecku, dla Janka nie stanowiło to trudności, gdyż dobrze znał ten język, nauczywszy się od bony Niemki. Dzięki więc temu z łatwością mógł wysłuchać, co mówią w sąsiednim pokoju oficerowie austrjaccy.

— A więc tak rzeczy stoją — mówił jeden z nich głosem podniesionym, rozkazującym, widocznie starszy między nimi — a więc, jak nam doniósł ten huncfot żyd, książę Józef Poniatowski jest w Nadarzynie, miejscowości oddalonej stąd niespełna o ośm mil, a nawet bliżej, jeżeli udamy się bocznemi drogami, nie gościńcem....

— Tak, jenerale — wtrącił inny głos — ale trzeba znać te boczne drogi. W tym przeklętym kraju łatwo zabłądzić, a wtedy...

— Mości rotmistrzu — odezwał się na to poważnie jenerał — wszystko przewidziałem i bądź pewny, że nie pobłądzisz. Otóż, moi panowie, książę Poniatowski jest w Nadarzynie, zaledwie z półplutonem ułanów, niespełna dwadzieścia koni — i nie myśląc wcale o wojnie, bawi się w najlepsze, spokojny i pewny. Na jutro nawet jest nakazane wielkie polowanie w parku Nadarzyńskim... Sam Bóg go nam daje w ręce, moi panowie. Ze schwytaniem naczelnego wodza wojsk Księstwa Warszawskiego wojna dla nas będzie prostą przechadzką — nikt nam nie będzie śmiał stawić oporu. Cel ten jest istotnie godny ofiary.

To mówiący jenerał odetchnął i tak dalej ciągnął:

— Waćpan, panie rotmistsrzu von Lampe, weźmiesz trzy szwadrony huzarów węgierskich, szwadron Pandurów i trzy działa artylerji konnej — wyruszysz stąd o godzinie dwunastej w nocy, przeprawisz się przez Pilicę po moście w Nowem Mieście i szybkim marszem udasz się do Nadarzyna. Tu masz marszrutę. Pójdziesz drogą najprostszą. Przy szybkim pochodzie, nie zatrzymując się nigdzie, powinieneś być w tej miejscowości jutro rano o godzinie szóstej, lub siódmej najpóźniej. Rozproszysz ułanów, weźmiesz księcia Poniatowskiego do niewoli i, odpocząwszy godzinę, ruszysz do nas z powrotem, zachowując wszelkie ostrożności... Spodziewam się twego powrotu jutro, około godziny czwartej lub piątej po południu. Będę cię czekał z niecierpliwością. Tu masz mapę, przypatrz się drodze twego pochodu.

Rozległ się szelest rozwijanego papieru i chwilowa cisza zapanowała w pokoju. Łatwo zrozumieć, z jakiem wzruszeniem wysłuchał tej rozmowy biedny Janek. Czuł, że wszystka krew w nim się burzy, chciał wypaść do oficerów austrjackich, knujących tak niecne plany, chciał stanąć przed nimi i powiedzieć im:

— Nie panowie, to jest rzecz niegodna rycerzy chwytać podstępnie bezbronnego nieprzyjaciela. Idźcie naprzeciw tego księcia wtedy, kiedy stanie na czele swych wojsk, walczcie z nim, a on wam pokaże, jak się to umiera z szablą w ręku w obronie własnego kraju.

Chciał im to powiedzieć i tysiące innych podobnych rzeczy, wrzał gniewem i uniesieniem, i już podniósł się z łóżka, gdy po chwilowej ciszy odezwał się znowu poważny głos jenerała:

— Dam panu, rotmistrzu von Lampe, dobrego przewodnika, żebyś nie pobłądził w tym przeklętym polskim kraju. Przewodnikiem tym jest żyd Herszek, który doniósł mi właśnie o pobycie księcia Poniatowskiego w Nadarzynie. On pana doprowadzi bezpiecznie. A teraz — tu powstał jenerał — rozejdźmy się panowie. Rotmistrzu von Lampe! ufam twej dzielności i odwadze, że dokonasz tego znakomitego dzieła, które zmieni losy świata. Bądź pewny, że cesarz będzie o tem wiedział i że czeka cię wielka nagroda.

— Zrobię wszystko, jenerale — odrzekł ponurym, suchym głosem rotmistrz — zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

Gdy to rotmistrz mówił, Janek korzystając z brzęku szabel i szelestu, spowodowanego powstawaniem oficerów, przysunął się do drzwi i ujrzał rotmistrza von Lampe, kłaniającego się jenerałowi. Rotmistrz był to wysoki i chudy, jak tyczka, mężczyzna, z wielką rudą głową, takiemiż faworytami i dwojgiem maleńkich, siwych, głęboko osadzonych oczów. Z pod krzaczastych, rudych brwi patrzały te oczy chytrze, podstępnie, a na wąskich ustach wieszał się szkaradny uśmiech szyderstswa. Ubrany w jaskrawy mundur huzarski, obcisły i suto szamerowany złotem, stał wsparty na szabli i kłaniał się pokornie jenerałowi. Wkrótce ten ostatni wyszedł, a za nim inni — i Janek został sam.

Przez chwilę patrzał nieruchomy przez uchylone drzwi na pokój, oblany jasnem światłem kilku świec, na stół przykryty zielonem suknem, na którym walały się rozmaite papiery, na krzesła, porozsuwane w różne strony, patrzał i nie mógł zebrać myśli. Był oszołomiony strasznym projektem, którego mimowolnie dopieroco wysłuchał. Cała jego dusza oburzała się na tych rycerzy austrjackich, którzy umieją tylko walczyć podstępem i chytrością.

— To nikczemne! — szeptał.

Ale wkrótce oprzytomniał, uspokoił się i począł zimno rozmyślać nad tem, co usłyszał. Przedewszystkiem widział, że trzeba koniecznie zawiadomić księcia Józefa — to było rzeczą jasną, niezbędną, jeżeli wódz nie miał wpaść w ręce nieprzyjaciela, a z wodzem kraj cały. Jakże tu jednak zawiadomić księcia? Janek, jak żyje, nigdy nie był w Nadarzynie. Siedem mil; przestrzeń ta wydawała mu się niezmierzoną. Nigdy nie wyjeżdżał z Łęgonic dalej, jak do Nowego-Miasta — nie miał wyobrażenia, jak można tak wielką przestrzeń przejechać. A jednak czuł konieczność, nieuniknioną konieczność zawiadomienia księcia Józefa o zamachu, jaki na niego gotują Austrjacy. Z początku chciał powiedzieć o wszystkiem Marcinowi, ale po namyśle porzucił ten zamiar. Marcin głuchy, nie dosłyszałby dobrze, a krzyczeć przecież nie można, kiedy po całem obejściu dworskiem po całej wsi pełno żołnierzy austrjackich, pomiędzy którymi jest wielu Polaków, rodem z Galicji. Odrzuciwszy ten pomysł, jako niepraktyczny i niebezpieczny, Janek począł w głowie szukać innej jakiej osoby, którejby się mógł poradzić. Ale nikogo nie znalazł, już dla samego tego, że nikogo, prócz Marcina i klucznicy, nie było we dworze.

Wówczas postanowił sam jechać. Zerwał się z łóżka, na którem siedział i zawołał:

— Bóg tak chce — nie napróżno słyszałem tutaj cały projekt tej wyprawy. Ja pojadę — w imię Boże!

Żwawo schwycił czapeczkę, zarzucił na siebie watowany płaszczyk, przeżegnał się i wybiegł ze swej izdebki.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Morderstwo, którego nie było.

Pan Edmund Lacroix, doszedłszy do pzekonania, że nie warto żyć na świecie, postanowił życie sobie odebrać.

Z zimną krwią rozmyślał nad rodzajem śmierci: żelazo, ogień, woda, albo trucizna — żaden z tych środków nie wydawał mu się dość odpowiednim do zakończenia wędrówki ziemskiej. W chwili, gdy tak rozmyślał, rzucił się w oczy pewien artyku. w gazecie i Edmund Lacroix zawołał:

— Eureka!!!... Znalazłem!!

Artykuł w gazecie był krótki i zrozumiały, a brzmiał, jak następuje: „Morderstwo“.

„Przy ulicy Berty, w oddalonej dzielnicy Monmartre'u, zamordowano przekupkę owoców w tak wyjątkowych okolicznościach, że zmuszeni jesteśmy wszystko czytelnikom opowiedzieć. Przekupka owoców zwała się madame Angot. Była ona wdową po wielce szanownym człowieku, spełniającym chlubnie za życia drażliwe obowiązki stróża nocnego. Za swą chlubną pracę dostał on nawet srebrny medal, który wdowa Angot kazała oprawić i z dumą pokazywała swoim kljentkom, dowodząc każdej, że jeżeli jest przekupką, to tylko dlatego, że zwaliło się na nią nieszczęście i że gdyby jej mąż żył, to nigdy nie zajmowałaby się sprzedawaniem gruszek albo bobu, zależnie od sezonu. Była to kobieta pięćdziesięcioletnia, silna i rzeźwa, pomimo pewnej skłonności do apoklesji. Nikt by nie przypuścił, że skończy ona tak tragicznie, to jest, że znajdą ją zamordowaną w łóżku uderzeniem rączki parasola! Poszukiwania słynnych detektywów i paryskiej policji nie przyniosły do tej pory żadnych rezultatów. Kradzież nie była pobudką do zbrodni, gdyż nic w domu ofiary nie zginęło, nawet złote kolczyki i zegarek z tego samego szlachetnego metalu pozostawiono w całości.

„Trzeba zgodzić się na przypuszczenie, że zbrodnia była spełniona przez zemstę, choć nikt nie znał ani jednego wroga wdowy Angot. Z całą pewnością możemy tylko zakomunikować, że parasolka, przy której pomocy spełniono to sensacyjne zabójstwo, była ze ślicznego i trwałego jedwabiu z modną rączką, w kształcie kaczej głowy. Rączka ta jest tak niezwykłej trwałości, że, według słów lekarza, robiącego sekcję zwłok, wystarczyło jedno lub dwa uderzenia, ażeby zabić nieszczęśliwą przekupkę warzyw“.

Wyczytawszy te szczegóły, Edmund zawołał, podobnie jak Archimedes: Znalazłem! I zaraz w jego pomysłowej głowie powstał nowy pomysł skończenia z życiem: śmierć wprawdzie niezbyt zaszczytna, ale zato zupełnie pewna — ścięcie na gilotynie.

Wszystko to da się bardzo łatwo urządzić. Ponieważ zabójca z ulicy Berty nie był jeszcze wykryty, więc Edmund Lacroix postanowił udać się do władz miejskich i powiedzieć: Zabójcą jestem ja! Potem najpewniej zaprowadzą go do sądu, gdzie wszystkich zadziwi swoim cynizmem, skażą go na ścięcie gilotyną, a jest to najlepszy rodzaj śmierci dla szanującego się człowieka.

Nie tracąc czasu, Edmund Lacroix popędził do policji. Komisarzem w Sannoix był bardzo sympatyczny Filip Servois, człowiek poważny, odznaczający się wielką prawością charakteru, ale za to niewielką odwagą. Dzięki czystym sercom mieszkańców tego partykularza, zażywał zupełnego spokoju. Żył sobie szczęśliwie w Sannoix, gdzie gorliwie hodował szparagi, i za nic na świecie nie zdecydowałby się opuścić swego odpowiedzialnego stanowiska.

Właściwie, trzeba nawet przyznać, pan Filip Servois był wielkim tchórzem. Czytanie Conana Doyle'a nabawiło go niewypowiedzianego strachu bał się sam sypiać w swoim maleńkim domku i zgodził sobie służbę rodzaju męskiego, aby mniejszą uczuwać bojaźń. Można więc sobie wyobrazić jego przerażenie, gdy Edmund Lacroix zjawił się w jego kancelarji i z uśmiechem na ustach rzekł:

— Jestem zabójcą z ulicy Berty!!!

Jak wszyscy, Filip Servois czytał rano w porannej gazecie szczegóły przestępstwa i, trzęsąc się ze strachu, błogosławił niebo, że jest komisarzem w mieście, w którem niema ulicy Berty i w którem nie zabijano nikogo na żadnej zresztą ulicy. I nagle zjawia się przed nim jakiś osobnik i bez żadnych wstępów powiada: „Jestem zabójcą z ulicy Berty!!!“

Można było od takiego ciosu dostać apopleksji! Pana Filipa Servois to ominęło, ale ujrzawszy się sam ze zbrodniarzem — zemdlał. Edmund Lacroix był poczciwy chłopak! Zaczął mu rozcierać skronie, przykładać klucz do karku, a widząc, że to nic nie pomaga, pobiegł do kuchni, wziął octu i dał mu powąchać!

Po chwili pan Filip Servois odzyskał przytomność i drżącym głosem zaczął badanie. Edmund Lacroix zaś wyrecytował wszystko, czego się nauczył na pamięć z gazety.

Teraz już pan Filip Servois był zupełnie przekonany, że ma przed sobą przestępcę. Omyłka była niemożliwa. Ten człowiek doskonale znał wszystkie szczegóły zbrodni, nic nie opuścił, nawet drobiazgowo opisał wygląd parasolki, niewinnego narzędzia tej okropnej zbrodni!

— Kochany panie! — powiedział pan Servois — jestem zmuszony pana aresztować.

— Mnie właśnie oto idzie!

— Zamiast do więzienia, zamknę pana w swojej spiżarni! Radzę jednak ostrożność z mojem winem, bo... bardzo skwaśniało w tym roku, więc może panu zaszkodzić. Ja zatelefonuję do Paryża i za godzinę pana zabiorą!

Lacroix podziękował, obiecał wina nie kosztować i pozwolił się zamknąć w spiżarni.

Po chwili Filip Servois telefonował do naczelnika policji paryskiej.

— Halo! Halo! To ja, Servois, komisarz z Sannoix! Aresztowałem zabójcę z ulicy Berty!

Odpowiedział mu wybuch śmiechu. Pan komisarz pomyślał, że pan naczelnik jest za mało poważny, ale uważał za swój obowiązek spytać:

— Co mam z nim dalej robić?

— Niech go pan każe włożyć do spirytusu, bo to bardzo rzadki egzemplarz!

I naczelnik położył tubę telefonu, a pan Filip Servois osłupiał, bardzo obrażony. W tej chwili wszedł roznosiciel i kładąc na stół gazetę, powiedział:

— Panie komisarzu, przyniosłem gazetę.

Pan komisarz machinalnie spojrzał i aż podskoczył ze zdziwienia, przeczytawszy:

„Parasolka, słynna jako „narzędzie zbrodni“ z ulicy Berty, była kupiona w nowootworzonym przy bulwarze Hausmana sklepie pod firmą „Bon Roy“. Żądajcie doskonałych parasoli z kaczą głową po 5 franków 75 cent. za sztukę“.

Pan komisarz padł na krzesło, jak gdyby mu kto nogi podciął.

— Więc to była reklama — jęknął. — Teraz rozumiem, dlaczego naczelnik śmiał się ze mnie!

I udał się do Lacroix, który, siedząc w spiżarni, marzył o gilotynie.

— A to figlarz z pana! — rzekł komisarz.

— Ja?

— A tak! Przecież morderstwo przy ulicy „Berty“ to była reklama składu parasoli!

— Nie może być!

— Czytaj pan!

I podał gazetę stroskanemu panu Edmundowi. Ten nie mógł własnym oczom uwierzyć.

— Masz tobie — mówił z płaczem — nie będę ścięty!

— A dlaczegoż pan tak pragniesz gilotyny?

— Bo mi źle na świecie!

I, ciągle płacząc, opowiedział komisarzowi nieszczęśliwe swe dzieje.

Słuchając smutnej opowieści, komisarz mieszał łzy swoje ze łzami młodzieńca. Gdy opowiadanie było skończone, komisarz rzekł:

— Słuchaj, młodzieńcze! Jeżeli chcesz, zostawię cię u siebie. Potrzeba mi właśnie sekretarza, gdyż szparagarnia pochłania mi wiele czasu. Dam panu mieszkanie, życie, ubranie i kilkadziesiąt franków na drobne wydatki. Zgoda?

Edmund Lacroix się zgodził. Pozostał u pana Filipa i stali się wkrótce najlepszymi przyjaciółmi. Komisarz, patrząc na przyjaciela, mówił czasem do siebie:

— Ktoby pomyślał, że ten poczciwy chłopak mógł zamordować przekupkę z ulicy Berty!

Rudolf Bringer.

Już lecą liście ..

Lecą liście z drzewa z szmerem
Jako łzy, te gorzkie łzy —
Lecą zda się z żalem szczerem,
Jak ulewa z szumem, szmerem —
biedne wy!
Czas je strąca wiatru wiewem
Z starych drzew, prastarych drzew —
Wicher pomiata je z gniewem,
One płyną z smętnym śpiewem...
płyną z drzew.
Szemrzą, lecą, gwarzą z cicha
O minionych echach lat, radości lat,
A wiat huczy, szumi, wzdycha,
Listki zdziera z drzew je spycha,
rzuca w świat.
Opadacie liście z drzewa, ·
Gdy was strąca wiew, wichury wiew,
Już wam ptaszek nie zaśpiewa,
Ani nocka czarnobrewa
usłyszy wasz zew.
Już nie dla was wiosna miła,
Aromaty bzów, srebrzystych bzów,
Czarna skryje was mogiła —
A znów wiosna będzie miła
i szczęście też znów.

Wincenty Kuglin.



W jesieni...

Przeszły dni skwarne... Świat cichy i senny
Zwolna się stroi do pory jesiennej.
Słońce się chowa w szarej chmur gęstwinie,
Chwilkę zabłyśnie wesoło i ginie.

I znowu błyska przez ciemne chmur wały.
Na polu chłopek — zgarbiony, zgrzybiały,
Podcina konie i krzyka wesoło,
Radosnem okiem rzucając wokoło.

Stwórcy poleca swą pracę na roli.
Błękitne dymy, jako kłęby pary
Wstęgami — prosto, jak z Abla ofiary
Wioną ku niebu leniwie, powoli...

Wtem wiatr powstaje, ziemię wirem ryje
I miota kurzem w cztery świata strony,
Unosi dymy i przeciągle wyje.
Wszystko zakrywszy przed okiem człowieka,

Wreszcie żałośnie, cicho — zwolna jęczy
Tak, jako mucha, gdy w siatce pajęczej
Siedzi więziona i na śmierć swą czeka.
Chyli ku ziemi drzew dumne korony,

Stan. Pasterczyk.

Św. Teresa od Dzieciątka Jezus.

Gdy uważnie przypatrzymy się życiu społeczeństwa, zobaczymy dwa różne obrazy. Znam rodziny liczne nawet, u których po parę miesięcy chleba nie było, a w tych samych miejscowościach każdą niedzielę bawią się inni, urządzając festyny i zabawy taneczne. Stosunki społeczne są niezdrowe i jaskrawo różne. Przyczyną ich zmaterjalizowanie pojęć, lekarstwem jedynem i skutecznem jest powrót do zasad wiary Chrystusowej.



W dziedzinie wiary widzimy taksamo dwa skrajne obrazy. Z jednej strony zwiątpienie, niewiara, szyderstwo z najświętszych uczuć innych i prześladowanie ich zatacza coraz dalsze i gwałtowniejsze kręgi. Z drugiej jednak strony obóz ludzi wierzących otrząsa się z gnuśnej drzemki, organizuje się, odzywa się w nim coraz głośniejsze tętno życia. Podobnie przedstawiają się stosunki społeczne i w innych państwach. Te dwa przedstawione obrazy, położenia materjalnego i uczuć religijnych pozornie różne, w rzeczywistości ściśle łączą się z sobą, a w życiu tak jednostek, jak i społeczeństw są pierwszorzędnego znaczenia.

Walka o wiarę rozegrała się już dawniej, przed wojną światową we Francji. I tak w r. 1880 uchwalono tam rozwody, 1904 r. zerwano stosunki dyplomatyczne z papieżem i wyrzucono krzyże z sal sądowych, 1905 przeprowadzono rozdział Kościoła od państwa, 1906 wydalono księży z plebanji, powyrzucano zakony z klasztorów, ześwieczczono zupełnie szkoły, wojsko, sądy.

Następstwem tych praw i wymazania słowa „Bóg“ były liczne zbrodnie, mordy, gwałtowny upadek liczby urodzin wskutek zbrodniczych zabiegów, znieważanie krzyżów, św. Sakramentów. Zdawało się, że naród francuski idzie prostą już drogą do nieuchronnej zagłady.

Zachodziła potrzeba, konieczność może nawet, szczególniejszej opieki Bożej dla społeczeństwa tak francuskiego, jak i innych. Opieka ta okazała się w powołaniu najnowszej Świętej. W chwilach groźnego ucisku i upadku wiary Chrystusowej we Francji i w świecie, żyła już w ukryciu jedna z najmilszych świętych, misjonarka nietylko swej ojczyzny, lecz całego świata, św. Teresa od Dzieciątka Jezus. Św. Teresa urodziła się 2 stycznia 1873 r. w Alencou, we Francji, jako córka Ludwika i Zelji Martin. „Mała Tereska, kwiateczek Jezusa“ — mówi o Sobie: „Lubiałam zawsze to, co wielkie, co piękne; w tym czasie zaznałam niezwykłego pragnienia wiedzy“. Pragnęła młodo wstąpić do zakonu, ponieważ jednak była za młodą, by mniej dziecinnie wyglądać na posłuchaniu u biskupa „poraz pierwszy wysoko upięła włosy“. Zła się lękała: „Nie mając pojęcia o złem, lękałam się je poznać. Nie wiedziałam, że dla czystych, wszystko czyste (Rzym. XIV), że dusza prosta i szczera, w niczem złego nie widzi, ponieważ złe istnieje tylko w sercach nieczystych, a nie w martwych przedmiotach“. (Dzieje duszy str. 98).

W domu rodzinnym otrzymała pobożne i staranne wychowanie. Po ukończeniu 15 roku życia wstąpiła do klasztoru, gdzie jednak krótko żyła, bo już 30 września 1897 r. umarła, mając zaledwie 24 lata życia. Wzrostu była wysokiego, smagła blondynka , o rysach twarzy pięknych, regularnych. Cała Jej postać była pełna wdzięku naturalnego i prostoty.

Św. Teresę ogłoszono w 25 lat po Jej śmierci błogosławioną 29 kwietnia 1923 r., a 17 maja 1925 r. papież Pius XI ogłosił Ją świętą.

I dlaczego to ta cicha, pokorna i prawie światu nieznana za życia zakonnica jest tak sławną po śmierci? Dlaczego trudno znaleść dom czy kościół katolicki, w którymby nie było Jej obrazu? Dlaczego taka miłość powszechna Ją otacza?

Prawda, że nie wycierpiała katuszy i nie poniosła śmierci męczeńskiej, nie założyła sławnych zakonów, jak niektóre święte. Przepowiedziała jednak o Sobie: „Czuję, że posłannictwo moje rozpocznie się po śmierci — posłannictwo wszczepiania w dusze miłości Boga. Przechodzić będę niebo, czyniąc dobrze dla ziemi. Nie spocznę do końca świata. Dopiero kiedy anioł zawoła: czas już przeminął, wtedy dopiero spocznę i cieszyć się będę, bo liczba wybranych będzie wypełniona“. (Obj. 6. 10.)

Przepowiednia Jej się sprawdza: pobożni prosząc Tę najmilszą może z świętych o wstawiennictwo u Boga, otrzymują nieprzeliczone łaski i cuda tak w sprawach doczesnych, jak i duchownych. To jest przyczyną miłości ku Niej, tą drogą sprawuje swoją obietnicę, swe misjonarstwo.

Bardzo często uważa się św. Terenię za dziecięcą naturę. Ona sama taką usiłuje się w swej pokorze przedstawić w książce o sobie napisanej w „Dziejach duszy“, taką jednak nie jest. Oto Jej poglądy na życie: „Ziemia jest miejscem próby walki, pracy, cierpienia, zasługi. Ale zazwyczaj w późniejszym dopiero wieku przychodzimy do takiego przeświadczenia; w zaraniu bowiem życia świat zarysowuje się w żywych i różowych kolorach, nęci zwodniczą nadzieją pociechy, radości i szczęścia. Zdarza się jenak, że już na wstępie życia spotykają nas zawody, trudności, przytrafiają się i upadki, przychodzą rozczarowania i bóle...“

„Walczmy bez wytchnienia, nawet bez nadziei wygranej. Mniejsza o wynik walki. Idźmy zawsze

naprzód, chociażby nie wiem jak utrudzającem było bojowanie. Powinność swą trzeba spełniać aż do końca".

Są to poglądy mędrca, a nie młodej dziewczynki. Tak więc Francji gwałtownie walczącej z wiarą, zesłał Bóg miłosierny tak wielką a miłą Świętą, która przyczyniła się wiele do odrodzenia życia religijnego nietylko we własnej ojczyźnie, lecz w całym świecie. Polska także ma tej miłej świętej wiele do zawdzięczenia.

Gdyby nawet kiedyś i u nas przyszły chwile beznadziejnie ciężkie, jak to było we Francji, miejmy nadzieję, że Bóg je potrafi zmienić, jak nam dał przykład na życiu św. Teresy.

„O Boże, jakże różnemi drogami prowadzisz dusze ludzkie!" (Św. Teresa od Dzieciątka Jezus).

Jan Pelczar.



MACIEK BZDURA GADA:

Jakasik piesecka melankolija mnie opanowała, ze mi się nicego nie chce. Ani mi się robić nie chce, ani mi się gadać nie chce, ani, co najdziwniejsa, nawet mi się jeść nie chce. Choć to juz dziewiąta godzina przed połedniem, a ja jesce prawie nic nie jadłem. Bo ta donicka zimniacków, paciarecka basz-cu i te pół bochenecka chleba to sie przecie nie rachuje. I moze latego, ze gęba bez dwie godziny nicem nie nasmarowana, to i nie chce się jej otwierać.

A kiedy przyjdzie na mnie taka okolicność, ze zawiasy w gębie rdzewieją, to se powiadam: „Mój Boże! cemuś mnie nie stworzył babą, a jesce taką, co jej to od świtania do wiecora jadacka od gadania nie ustaje!" Człek się urodził śturchacem i umrze śturchacem, a bez co tak jest, to ani sam nie wie. I zeby się to choć Pon Jezus przed urodzeniem się cłowieka spytał się go, cem on chce być? Ale gdzie tam! Pytał się to mnie kto, cem jabym wolał być? Ani się mnie nikt nie pytał, ani mojej nieboscki matusi, ani zadnego z moich tatusiów. Krajsbabka pedziała jagem się urodził, zem chłopak i jestem chłopakiem, a nie odmienili tego później ani jegomość w kościele, ani krzesnoojcowie w karcmie.

Ja wiem, ze jakby mnie się tak Pon Jezus przed mojem urodzeniem spytał, tobym wiedział, co pedzieć. Pedziołbym, zeby to zemną było tak na odmiane: raz chłopak, a raz dziopa. Jakby trza było krowy doić, albo chusty uprać, albo zarcie ugdysić, to jabym był chłopakiem, a jakby trzeba było ziarno młócić, albo zagony poorać, albo drew urąbać, tobym był dzieuchą. Jakby trza było gadać, tobym był dzieuchą, a jak dziecka rodzić, to chłopakiem. A wtedy to cały świat i korona polska mieliby ze mnie pozytek! A casem, naprzykład przy jedzeniu, tobym się zgodził być odrazu i chłopakiem i dzieuchą.

Casem byłaby z chłopaka wielka pociecha, a casem z dzieuchy. Bo dajmy na to, trza się zynić! Cy myślicie, ze to tak dobrze być wtencas chłopakiem? Człek se ślipia na śtyry boki wypatruje, ta mu się widzi i tamta widzi, i niby wszystko zdaje się, że jest dobrze, póki jej nie powie, co i do cego. A jak jej powie, ze mas niby względem niej ochotę, to na ciebie ślipia wybałuscy i za inksemi poleci. A jakbym był tak nieprzymierzając dzieuchą, tobym se lezał do góry brzuchem i przy mojej urodzie juz dawno byłby się jaki śturchac znalaz. A tak to sukam i sukam od stworzenia świata i nic a nic! Ani baby, ani dziecka, ani zadnego stworzenia, które jego jest.

Ze baby ni mam, to nie tylko mnie, ale całemu światu wiadomo. A gdyby nawet kto nie wiedział, to jak się na mnie popatrzy, to zaraz zuźry, ze jesce jestem w kawalirskiem stanie, bo ani ni mam oków popodbijanych, ani kudłów obtarganych, ani zębów wybitych, co się prawie kuzdemu zeniatemu na równy drodze trefia. Ale cy dziecków ni mam, to kto to moze wiedzieć? Tyle tego tałatajstwa w Psiej Wólce się rodzi, ze ani chybi któresik musi być moje. Ale dojdź tu, kiedy baby są tak skryte, ze zadna nie chce pary z gęby puścić. Wkiejsik spotykam Michałową, co jej się to w tamtem miesiącu dwa bejaki umnozyło i powiadam:

— Pani matko! I jakze tam? Przecieśmy się jakosik tego drobiazgu docekali!

— Jakto my? — Michałowa na to. — Zadne my, bo to najpirw boskie, a potem moje!

— Boskie nie Boskie! — ja jej na to — bo jakby było Boskie, toby se Pon Bóg trzymał to to w niebie, a nie dawał i to takiej smatławej babie, jak wy. A ze wase, to mi o tem przecie nie potrzebujecie gadać, bo to wie nie tylko cała wieś, ale nawet cała parafja. A przecie kuzdemu wiadomo, ze jak jest matka, to musi być i ociec, bo jakzeby inacej? Coprawda, casem da Poniezus jakiej świątobliwej niewieście pędraka i bez ojca, ale się to rzadko trafia, a przecie takiej babie, jak wy, toby Poniezus takiej łaskawości nie dopuścił!

— No pewnie! — pedziała Michałowa — i ja Go ta o to nie prosiłam. A nie prosiłam, bo mi nie trza było prosić, skoro mam chłopa i on mógł być ojcem.

— Naprawdę? Ktoby to był powiedział? Ale kiedy wy mówicie, to juści juz tak musi być co do jednego, ale to drugie? Przecie jak jedno ma ojca, to i drugie musi go mieć. I jagem się ino dowiedział, ze wam Poniezus dał jaze dwa pędraki i to w jednem dniu, tom se sam zaraz pomyślał, ze la jednego musiał być ojcem Michał, bo on cemduchu i kolibkę strugał i portki swoje rodzone na pieluchy podar i inse różności wydziwiał, ale co do drugiego, to nie wiedziałem i nie wiem, bom się pytał i tego i owego, a nikt się przyznać nie chciał. A ze to jegomość powiadają zawsee, ze Bóg jest najsprawiedliwszy, tom przecie zaraz wiedział i nie trza mi było tego dwa razy powtarzać, zeby nie był taki, coby dawał jednemu dwa naraz, a drugiemu ani jednego. I takse myślę, ze jak się juz nikt do tego drugiego nie chce przyznać, to ja go wezmę na swoje sumienie, a pastuch się przyda, jak nie mnie, to gospodarzowi.

Jagem to powiedział, tom myślał, ze mi Michałowa ślipie wydrą, a sam nie wiem za co. Bo przecie chyba nie za moje dobre serce. Ale z babami zawse tak: chciej jej wygodzić, jak umis i mozes, a ona za to na ciebie z jęzorem, albo z pazurami. I bądź tu miłościwego serca i miętkiego rozumu!

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

W Patagonji i Ziemi Ognistej.



Polowanie w Patagonji.

Z dalekiej północy, z krainy wiecznego lodu i śniegu przerzucimy się na „drugi kraniec Ameryki, na jej cypel południowy, do Patagonji. Wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki Południowej ciągną się góry Kordyljery, tu na 2.500 metrów wysokie; zewnętrzne ich pasmo rozdarte na fiordy i wyspy, których przedłużenie ku południowi tworzy prawie bezludną Ziemię Ogniową. Od wschodu przylega do Kordyljerów skalista i prawie bezdrzewna, stepowa wyżyna Patagońska. Połać górska zachodnia obfituje w zbyt częste deszcze, skutkiem czego niewysokie góry pokrywa wieczny śnieg, a lodowce staczają się do morza; w stepowej połaci wschodniej należą deszcze do rzadkości. W niezyznej tej ziemi koczują nieliczne gromady Indjan-Patagonów.

Jak wszędzie zresztą w Ameryce, tak i tu Indjanie byli początkowo jedynymi panami. Z czasem po przybyciu Europejczyków tubylcy coraz bardziej musieli się skupiać i to w okolicach najgorszych, gdyż co lepsze zajmowali Europejczycy. W Patagonji utrzymali się oni stosunkowo najdłużej. Obszerne stepy i pobliże morza dostarczały im w obfitej mierze żywności. Z zamiłowaniem na stepach tych oddawali się polowaniu na strusia i na czworonoga, tak zwanego guanaka. Indjanin dosiadał rączego rumaka, ujmował lasso do ręki i pędził za upatrzonym zwierzem. A gdy je zoczył, puszczał lasso z ręki, a to plątało nogi ściganego i łup był gotowy.

Polowanie takie widzimy na naszym pierwszym obrazku. Zwraca naszą uwagę rozległy step, poza którym rozciągają się pasma niezbyt wysokich gór. Na stepie pali się ognisko, przy którem prawdopodobnie wypoczywali Indjanie, zanim wyruszyli na łowy. W pobliżu ogniska przebiega kilka strusi i guanaków, napędzonych przez Indjan z głębi stepów. Ze wszystkich stron nadjeżdżają myśliwi, którzy lada chwila rzucą się na upatrzoną zwierzynę.

Na pierwszym planie obrazka widzimy Indjan oprawiających upolowaną zdobycz, oraz jednego myśliwca zarzucającego lasso na nogi strusia.

Indjanie używali tam dotąd swobody, póki rząd chilijski nie ustąpił w tej krainie przeszło 100.000 hektarów gruntu dwom kompanjom angielskim, utworzonym w celu prowadzenia hodowli bydła na olbrzymią skalę. Biedni Indjanie, żywiący się wyłącznie rybami, mięczakami i lamami, zostali niebawem wyparci na południe, zdala od morza i lasów, obfitujących w zwierzynę. Nie dziw więc, że upatrując w nowoprzybyłych nieubłaganych dla siebie wrogów, zaczęli na nich napadać, kraść i zabijać bydło i konie, a nawet staczali z pasterzami krwawe utarczki. Z drugiej strony odkrycie złotego piasku w łożyskach kilku rzek zwabiło do tej krainy całe zastępy awanturników bez wiary i sumienia, którzy nadużywając niegodnie zaufania i naiwności na pół dzikich krajowców, popełnili mnóstwo występków i obchodzili się z Indjanami z oburzającem okrucieństwem.



Napad Indjan na Europejczyków.

Indjanie szukali na przybyszach odwetu, a odwet ten niejednokrotnie był

straszny. Scenę taką przedstawia nasz drugi obrazek. Oto jednego z przychwyconych przybyszów okładają krajowcy pałkami, zaś drugiego przychwyconego na lasso, włóczą, tratują końmi i kłują dzidami.

Wkońcu zaznaczyć należy, że do poznania tego kraju przyczynił się w znacznej mierze polski podróżnik Józef Siemiradzki. (C. d. n.)

Ślepa niewolnica.

XXVIII.

Księżna Sassa.

Nadszedł dzień festynu dla uczczenia wysłannika cara Moskwy. Goście byli już niemal w komplecie, gdy marszałek dworu oznajmił przybycie księcia Aminowa.

Wszystkich oczy z ciekawością zwróciły się ku wejściu.

Książę Aminow wszedł, prowadząc swą małżonkę. Król pragnąc szczególnie uczcić ambasadora carskiego, powstał i poszedł naprzeciw niemu.

Młody książę był ubrany wspaniale, na piersiach jego błyszczały ordery, a rękojeść szpady była wysadzana brylantami niezwykłej wielkości. Małżonka jego, miała na sobie powłóczystą, białą, jedwabną suknię, uderzającą swą prostotą. Za to we włosach miała wpięty djadem niesłychanej wartości.

Pomiędzy gośćmi powstało ogólne poruszenie. Widać było największe zdziwienie na niektórych twarzach, nikt jednak nie wyjawił się z tem, co go zdziwiło.

W tej chwili Jagiellona, stojąca obok kanclerza Paca, ujrzała księcia i księżnę.

Dziwny przestrach zdjął ją nagle.

— Co to jest? — szepnęła, — kanclerzu, czy mnie nie łudzi uderzające podobieństwo? Patrz, czy widzisz księżnę Aminow?

— Wszak to jest... nie, to niepodobna! — szepnął kanclerz, — to musi być złudzenie!

— Nie, nie, to ona! To ślepa niewolnica z Sziras! — rzekła wojewodzina.

— Niepodobna, pani. To tylko podobieństwo.

— Czyliż nie widzisz, że jest ślepą?

— To dziwne, niepojęte.

— To ona, tak to ona! — mówiła pani Wassalska drżącym głosem.

Tymczasem król, powitał ambasadora, podał mu jedną, a księżnie drugą rękę i poprowadził ich oboje do Marji Kazimiery, która powstała.

— Witam cię, książę, — rzekła królowa, — i uważam za dobrą wróżbę, że cię możemy powitać na naszym dworze.

— Księżna Sassa Aminow! — rzekł król do Marji Kazimiery, ciesząc się zawczasu niespodzianką, jaką będzie dla niej to spotkanie.

Sassa, przystąpiła do królowej, która podała jej rękę.

— Sassa jest szczęśliwą, że może zbliżyć się do królestwa, u których tak chętnie przebywała, — rzekła księżna dźwięcznym głosem.

— A ja witam księżnę Sassę całem sercem! — rzekła królowa i w dowód szczególnej łaski pocałowała ją w czoło.

Ogólna uwaga zwróconą była na Sassę. Wszystkim wydawało się cudem to, co widzieli. Zdarzało się wprawdzie nieraz, że wschodni książęta kupowali piękne niewolnice i pojmowali je za żony, ależ Sassa była skazana na porzucenie na pustyni.

— To ona! ona żyje! — zawołała Jagiellona do kanclerza Paca, — jak się to stało? czyż jej nie wyprowadzono na puszczę?

— Patrz kanclerzu, jaką łaskę król okazuje swej niewolnicy!

— Przestała być niewolnicą!

— W moich oczach jest nią jeszcze!

— Nie pani! Jest małżonką ambasadora obcego, potężnego mocarstwa! — zauważył nieznacznie kanclerz Pac.

— Potrzebuję powiedzieć jej otwarcie, wobec zebranego dworu, żem ją poznała, — rzekła Jagiellona, nie mogąc zapanować nad swą nienawiścią i gniewem.

— Zdaje mi się, że wiele osób poznało ją także.

Jagiellona rozśmiała się szyderczo.

— Kolej przedstawienia przychodzi na nas panie kanclerzu, — rzekła.

Sassa widocznie poznała głos swojej śmiertelnej nieprzyjaciółki. Zerwała się. Znać było, że ją przejmowało wzruszenie.

Wojewodzina Wassalska, została przedstawioną ambasadorowi.

Książę Aminow, nie domyślając się, że ma przed sobą śmiertelną nieprzyjaciółkę swej żony, rzekł do niej parę uprzejmych wyrazów.

W tej chwili Jagiellona nie mogła już panować nad swą nienawiścią.

— Jakto? — rzekła głośno, — więc to małżonka księcia? Ależ to chyba omyłka! To ślepa niewolnica Sassa!

Słowa te sprawiły nadzwyczajne wrażenie. Jagiellona wypowiedziała głośno, co wielu myślało po cichu.

Sassa zwróciła się do swej nieprzyjaciółki.

— Pamiętam o tem, żem była niewolnicą z Sziras, pani wojewodzino, — rzekła, — ale teraz jestem małżonką księcia Aminowa...

— Dosyć, — rzekł książę blady z gniewu, — nie mogę zostać dłużej w towarzystwie, w którem od podobnych zaczepek nie jest żona moja wolną! Chodź, Sassa!

Książę Iwan ujął rękę swojej małżonki.

Niepodobna opisać wrażenia, jakie ta scena wywołała na obecnych.

— Co się stało? — zapytał król.

Jagiellona patrzyła szyderczo na ambasadora i jego pozbawioną wzroku małżonkę.

— Ma słuszność książę, — rzekła do kanclerza, — ślepa niewolnica, nie jest na miejscu w salonach, w których niegdyś śpiewała.

— Mój Boże!... co się stało? — zapytała Marja Kazimiera, widząc, że książę Iwan z małżonką zbliża się do niej.

— Najjaśniejsza pani raczy pozwolić, że się oddalę, — rzekła księżna.

Sobieski nie posiadał się z gniewu, gdy mu powiedziano o tem co zaszło.

Zwrócił się do księcia Aminowa, chcąc go nakłonić, aby nie opuszczał festynu, książę jednak przeprosił króla imieniem swojem i małżonki i oświadczył, że jest zmuszony opuścić festyn.

— To niesłychane! — rzekł król do tych, co go otaczali, — kraj drogo przypłacić może tę niedelikatność!

Większa część obecnych podzielała oburzenie króla i królowej, tylko zwolennicy Jagiellony i kanclerza, cieszyli się z tego, co zaszło.

Królestwo w gniewie i oburzeniu opuścili zaraz po tem zajściu salony.

Tej jeszcze nocy ambasador kazał pakować kufry i przygotować powozy podróżne. Był niesłychanie oburzony przykrością, jaką wyrządzono jego kochanej, łagodnej, anielskiej małżonce.



Sobieski podszedł przeciw nim.

Nie chciał ani godziny dłużej pozostać w mieście i jeszcze przed świtaniem opuścił z Sassą i służbą — Warszawę.

Rozdział XXIX.

Miłość księcia.

Wezwanie króla do wojny w przymierzu z cesarzem Austrji doszło do wszystkich części Polski i zewsząd nadciągały oddziały, ażeby się pod Krakowem połączyć z wielką armją. A tymczasem książę Aminow postanowił zupełnie się odwrócić od Polski.

Ze względu jednak na swoją małżonkę postanowił pojechać do Wiednia, do sławnego lekarza Braila i ze względu na nią decydował się teraz nieodstępować od swego zamiaru.

Sassa czuła, że dusza księcia przejętą jest gniewem. Poznała ona już swego małżonka i wiedziała o tem, że gdy był zagniewany, nie można było wpływać na niego perswazją.

Gdy jednak przybyła z nim do granicy i zatrzymali się w jednem z mniejszych miast austrjackich, aby wypocząć po długiej podróży, uznała, że nadeszła pora ułagodzenia go.

Młody książę pod wpływem gniewu napisał sprawozdanie do cara i zawołał kurjera, aby je przesłać.

Wtedy Sassa przystąpiła do niego.

— Co chcesz uczynić mój małżonku? — zapytała łagodnym głosem, — o! wysłuchaj mojej prośby! Chcesz narazić na wielkie niebezpieczeństwo króla Jana Sobieskiego, który mnie przyjął z tak wielką miłością.

— Zbyt względną jesteś, Sasso! Ubliżono ci na dworze warszawskim wobec zebranych gości w tak haniebny sposób... Jestem zdecydowany pomścić się za to, bo kto ciebie obraża, ten i mnie obraża.

— Jakże ci wdzięczną jestem za twoją miłość, mój panie i małżonku, — mówiła Sassa dalej, — uszczęśliwia mnie ona! Ale dajesz się unosić gniewowi! Obraziła mnie tylko wojewodzina Wassalska, która mnie nienawidzi.

— Wiem, że cię prześladowała, opowiadałaś mi to kiedyś. Ale ten czas już minął i nie zniosę tego, żeby się poważyła ścigać cię teraz swoją złością, — odpowiedział książę.

I zawoławszy kurjera dodał:

— Weź to pismo!

Sassa padła przed księciem na kolana i złożyła ręce. Ulituj się, małżonku mój, nie posyłaj tego listu! — błagała drżącym głosem.

— Co czynisz Sasso?

— To, co mi serce nakazuje, mój małżonku! Proszę dla króla Sobieskiego! — mówiła Sassa dalej, — był on dla mnie zawsze najlepszym panem! O! wysłuchaj mego błagania! Nie doradzaj swemu monarsze, aby wystąpił przeciw Janowi Sobieskiemu!

— Wstań Sasso! — rzekł młody książę, podnosząc klęczącą, — czynisz zbyt wiele dla tych, którzy poważają się obrażać cię!

— Nie posyłaj listu, mój panie i małżonku!

— Życie twoje w Polsce było jednym ciągiem cierpienia! Muszę postarać się o to, ażeby srodze ucierpieli ci, którzy cię obrazili!

— Nie chcę zemsty, którąby dotknęła tego, co zawsze był dla mnie łaskawy mój małżonku! — mówiła Sassa dalej, — wysłuchaj mojej prośby, poskrom twój gniew! Wierz mi, że niebo samo ukarze tych, którzy mnie prześladowali!

Prośby małżonki zmiękczyły księcia Aminowa.

— Jesteś zbyt szlachetną, Sasso, skoro chcesz przebaczać swoim nieprzyjaciołom, — rzekł.

— Chcesz ich ukarać, ale czyż powinieneś karać niewinnego, mój małżonku? — zapytała Sassa. — Czyliż sam nie byłeś świadkiem, jak król był dla mnie łaskawy? Jeżeli mnie rzeczywiście tak kochasz, jak mi tego codzień składasz dowody, to musiałeś widzieć i czuć, że król czynił wszystko, aby zatrzeć to upokorzenie! A czyliż rzeczywiście nie byłam biedną, ślepą niewolnicą, która dopiero przez twą dobroć i miłość stała się czem innem?

— Czem byłaś!... odpowiedział książę Aminow dumnie, — od chwili, w której poślubiłem cię, jesteś księżną. Gdyby car poślubił biedną niewolnicę, stałaby się ona carową! nie zapominaj o tem!

— Nie sprowadzaj nieszczęścia na kraj cały z winy jednej kobiety, którą szczęście me gniewa i która mi go zazdrości mój małżonku!

— Wysłuchaj mojej prośby! Daj mi ten list.

— Skoro ty prosisz za Janem Sobieskim, szlachetna istoto... weź ten list, — rzekł książę wzruszony i pokonany miłością.

A do kurjera dodał:

— Idź nie jesteś mi potrzebny.

— Dzięki ci za list! Dzięki ci, że wysłuchałeś mojej prośby! Codzień mam nowy dowód do dziękowania ci! I nic czynić nie mogę, aby ci odwzajemnić twą dobroć!

— Poczekaj jeszcze trochę, Sasso, a odwzajemnisz mi się za wszystko, gdy będziesz mogła widzieć mnie i słońce i ziemię i gdy ja będę świadkiem twojego szczęścia.

— Więc mój małżonku sądzisz rzeczywiście, że ten lekarz wiedeński zdoła mi wzrok przywrócić?

— Mam nadzieję Sasso!

— O! toby było największem dobrodziejstwem jakie mi wyświadczyć możesz! — zawołała Sassa w nadmiarze szczęścia i nadziei.

— Za kilka dni wszystko się rozstrzygnie Sasso. Jutro pojedziemy dalej, a wkrótce przybędziemy do Wiednia. Tam zaprowadzę cię do lekarza Braila, sławnego optyka, a ten nam powie, czy będzie mógł noc twego wzroku w dzień zamienić.

Książę ucałował Sassę, która jego gniew pokonała. Patrzył na nią, jak na dobrego swego anioła.

Pod wpływem jej łagodności i słodyczy stawał się on innym człowiekiem.

Nazajutrz puścili się w dalszą drogę do Wiednia i po upływie kilku dni i nocy przybyli do stolicy cesarskiej nad Dunajem, gdzie poseł cara wynajął już i urządził pałac dla księcia.

Znając wpływ i potęgę księcia Aminowa, poseł przyjął go z nadzwyczajnemi atencjami. Pokoje Sassy były pełne kwiatów, a córki posła przybyły powitać księżnę Aminow.

Cesarz także wyraził życzenie, aby książę ukazał się na dworze, ponieważ wobec grożących niebezpieczeństw wiele mu zależało na przymierzu z carem.

Urocza postać Sassy i jej ujmująca prostota oczarowały posła i jego rodzinę, a gdy książę Aminow oznajmił mu, że przybył do Wiednia tylko po to, aby zasięgnąć rady sławnego lekarza Braili, poseł sam pospieszył do podeszłego już wiekiem doktora, ażeby go zaprowaddzić do księcia.

Była to ważna i niecierpliwie przez Sassę oczekiwana chwila, gdy lekarz ukazał się w pałacu. Od tej chwili zależało rozstrzygnięcie kwestji najważniejszej w jej życiu. Nie mogła go widzieć, usłyszała tylko głos jego, gdy książę wprowadził ją do pokoju, w którym znajdował się Braila.

Sassa przystąpiła do niego. Chód jej i ruchy oznajmiły już lekarzowi, że jest zupełnie niewidomą.

— Odbyliśmy daleką podróż do pana, — rzekł książę do doktora, — sława pańska rozeszła się szeroko, pragniemy zasięgnąć pańskiej rady.

— Łaskawe słowa księcia pana są dla mnie bardzo pochlebne, — odpowiedział lekarz.

— Moja małżonka jest pozbawioną wzroku, — mówił książę dalej, — od pańskiej decyzji zależy wlać w nią nadzieję lub odjąć ją na zawsze!

— Co tylko jest w mocy ludzkiej, uczynię, mości książę!

Braila zaprowadził Sassę do okna i obejrzał jej oczy.

Po dość długiem badaniu, twarz jego przybrała wyraz bardzo poważny.

— Milczysz pan, — rzekła Sassa, — nie możesz mi zrobić żadnej nadziei? Powiedz otwarcie!

— Dam panu dziesięć beczek złota, jeżeli mi przyrzeczesz przywrócić wzrok mej małżonce! — zawołał książę wzruszony bolesnym głosem Sassy.

— Chociażby książę pan jeszcze więcej mi obiecał, nie mógłbym nic przyrzec, gdybym miał przekonanie, że sztuka moja nic tu nie pomoże, — odpowiedział Braila. — Wypadek księżnej pani jest nadzwyczaj rzadki! Nic dziś przyrzec nie mogę! Jeżeli jednak księżna pani pozwoli, to mogę spróbować operacji.

— Poddam się jej, jeżeli mój małżonek na to się zgodzi, — rzekła Sassa.

— Czy masz pan nadzieję powodzenia? — zapytał książę niespokojnie.

Braila wzruszył ramionami.

— Powtarzam księciu panu, że nic przyrzec nie mogę, — odpowiedział.

— Mimo to, moja małżonka podda się operacji, spodziewam się bowiem po zręczności pańskiej dobrego skutku, jeżeli to zgoła jest możebne.

Stosownie, do polecenia lekarza, Sassa pozostała u niego, albowiem były potrzebne przed operacją pewne przygotowania, zaś książę powrócił sam do swego mieszkania.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia opryszków karpackich.

Usiadł sobie stary Mateusz pewnego zimowego wieczora na przypiecku, zapalił fajkę, popatrzył na czeladź, która przędła kądziel, poczem spytał, czy chcą dowiedzieć się czego ciekawego, to im w dzisiejszy wieczór opowie ładną historyjkę o zbójach, którą słyszał od starego górala na noclegu, gdy z nieboszczykiem ojcem jeszcze jako młody parobczak jeździł na Węgry do Bardyjowa a nawet i Koszyc furami po zboże, bo koleji natenczas jeszcze nie było a tu panował wielki głód. Z największą chęcią gospodarzu posłuchamy, opowiadajcie czem duchu. Zaczął więc Mateusz opowiadać.

W dawnych czasach na całem Podkarpaciu, pokrytem gąszczami leśnymi i pokrajanem głębokimi parowami uwijało się sporo band zbójeckich. Każdej takiej bandzie złożonej z kilkunastu drabów przewodził herszt czyli watażka. Właśnie ów góral na noclegu opowiedział nam o takim dowódcy zbójeckim, nazwiskiem Obryd, który z swą dobrze zorganizowaną i na każde jego skinienie gotową bandą, urządzał krwawe wyprawy na wsie i miasta, dwory i kościoły — paląc i rabując co się dało. Wyznaczono nawet nagrodę na jego głowę, nikomu jednak nie udało się ani żywcem go złapać, ani upolować, nikt bowiem nie dorównał mu w jego podstępach i przebiegłości, wiedziano o jaskini w której się ukrywa z towarzyszami, wchód jednak do niej zatarasowany był olbrzymim głazem, który za pociśnięciem odpowiednio do tego celu urządzonej sprężyny sam się otwierał i zamykał. Kto jednak o tej sztuce nie wiedział, nie potrafił żadną miarą dostać się do jej wnętrza. Jak z jednej strony ów Obryd był postrachem okolicy, tak z drugiej miał litość w sercu dla studentów i płci pięknej.

Pewnego razu umieścił herszt swą bandę w bezpiecznem miejscu w lesie, a sam przechadzał się po drodze przez las wiodącej. Wtem nadjeżdża ku niemu wózek, wiozący dwie osoby, poganiał zaś końmi mały chłopiec w studenckim mundurku. Herszt zatrzymał wózek. Podróżni na widok jego zuchwałej miny, pistoletów za pasem i pałki w ręce, oniemieli ze strachu. Ten po dokładnem ich wylegitymowaniu, kazał furmanowi zsiąść z wózka, drżący jak osika od strachu student zeskoczył na ziemię i stanął przed nim. Teraz powiedział mu herszt, że musi mu odpowiedzieć na zadane pytania, w przeciwnym razie, każe mu uczciwie skórę wygarbować. Zadał mu dwa pytania, na które dał student trafną odpowiedź. Po egzaminie pogłaskał studenta, uspokoił go, dał mu nawet garść pieniędzy na książki i powiedział mu, że gdy się będzie dalej pilnie uczył, zostanie człowiekiem. Student z radości aż do góry podskoczył i dziękując hersztowi, pocałował go w rękę.

Wyegzaminowawszy studenta, kazał jednemu z podróżnych zsiąść z wózka. Skoro herszt dowiedział się od niego, że jest klerykiem, odezwał się do niego: „No, panie teolog, pokażcie wy teraz, co umiecie“. Macie wygłosić do mej bandy, kazanie, ale takie czułe, i budujące, ażby moi towarzysze się skruszyli i zalali się łzami. Mówiąc to świsnął na palcach i w jednej chwili cała banda, ukryta w lesie, zjawiła się przed nim. Powiedział im tedy, że mają przed sobą księdza, który głosi bardzo piękne kazania, a że oni dawno na kazaniu nie byli, niech pilnie słuchają. Kleryk nie miał wprawy w głoszeniu „słowa Bożego“, ale rad nie rad wylazł na pień drzewa, zastanowił się na chwilę i zaczął mówić od słów: „Nie może drzewo złe, dobrych owoców rodzić itd.“. Rozwinąwszy nstę-

pnie temat mowy, począł prawić zbójom o niebie, o piekle, zganił ich niecne postępki, wzywał do pokuty, straszył piekłem, a gdy wreszcie oświadczył im, że wielkie miłosierdzie Boże i że dla nich też jeszcze stoi niebo otworem, gdy tylko powrócą na drogę cnoty, tak się rozczulił, że najpierw sam się rozpłakał, a w ślad za nim poszli i słuchacze. Spodobało się to hersztowi, toteż czule podziękował klerykowi, dopomógł mu wsiąść na wózek, a na pożegnanie obdarzył go sporą sumką pieniędzy na „rewerendę".



Innym znów razem wiedząc o tem, że młynarz z żoną wyjechał i że w młynie pozostała sama tylko ich córka, postanowił z towarzyszami urządzić nań w nocy, zbrojny napad. Dostać się jednak do młyna, było rzeczą niełatwą, drzwi bowiem wchodowe okute były całe w żelazo, okna zaś zaopatrzone były silnemi kratami. Postanowił przeto dostać się do młyna przez podkop pod progiem i w tym celu kazał swoim ludziom kopać otwór do wnętrza i nim się pojedynczo do środka przedostać. Córka młynarza słysząc co się dzieje, nie uciekła ze strachu pod pierzynę, lecz chwyciła topór ciesielski, stanęła przy otworze, a skoro tylko który z opryszków przeczołgał się przez otwór i wystawił głowę, ta jednem cięciem ucinała mu głowę, a trupa wciągała do izby. W ten sposób pozbawiła życia kolejno wszystkich drabów. Został już tylko sam dowódca. Zastanowiło go mocno, dlaczego w młynie panuje taka cisza pomimo, że przecież już wszyscy jego ludzie są wewnątrz. Postanowił wreszcie sam przedostać się do środka, jednak z wielką ostrożnością. Gdy przyczołgał się ku otworowi i gdy już miał głowę wychylić, spostrzegł nagle córkę młynarza z toporem. Cofnął się nieco do otworu, a ta widząc, że toporem w tym razie nic nie zrobi, chwyciła potężnego kamienia i uderzyła nim z całej siły w głowę herszta. Ten zemdlał i pozostał w otworze. Tymczasem powrócił młynarz. Na widok trupów, ścisnął mu żal na chwilę serce, a gdy mu córka opowiedziała całe zajście, ucałował ją ze łzami w oczach, pochwalił jej przytomność umysłu, poczem usunął trupów z mieszkania, a wyciągając trupa herszta z podkopu, zauważył, że ten daje jeszcze znaki życia. Wsadził go na wózek, zawiózł do pobliskiego miasta i oddał w ręce władz. Skoro powrócił do zdrowia, odbył się nad nim sąd i wyrokiem skazany został na karę śmierci przez powieszenie. Taką śmiercią zakończył żywot herszt bandy zbójeckiej, grasującej długi czas na Podkarpaciu, a pamięć jego przechowuje się do dzień dzisiejszy w legendach między ludem. Ponieważ już była późna godzina, skończył Mateusz swe opowiadanie.

Piotr Wenc.



Poradnik gospodarczy.

Kopać ziemniaki winno się, gdy są zupełnie dojrzałe, to jest gdy nać obumrze i gdy się wytworzy warstwa korkowa na powierzchni ziemniaków, lepiej później, niż wcześniej, lecz w każdym razie przed nastaniem przymrozków. Ziemniaki niedojrzałe źle się przechowują. Kopać można motyką lub rozpowszechniającym się coraz więcej wyorywaczem o palczastej odkładnicy. Po wykopaniu należy przedewszystkiem przebrać ziemniaki, to jest chore, nadgnite, zepsute, przecięte odrzucić. Drobne ziemniaki można skarmić trzodą chlewną. Zebranym w czasie pogody deszczowej ziemniakom trzeba pozwolić przeschnąć. Najważniejsza rzecz, to należyte przechowanie ziemniaków. Do kopca lub piwnicy powinny być ziemniaki przeniesione już jako suche.

Podczas przechowania tracą ziemniaki na wadze, wskutek oddechania. Straty te wynoszą przeciętnie 3—5 proc., do kwietnia 7—9 proc., do końca czerwca 10—12 proc., a nawet 17 proc. Dobre lub złe przechowanie należy również i od odmiany ziemniaków, wodniste bowiem przechowują się gorzej i łatwiej się psują. Temperatura przy przechowaniu ziemniaków winna wynosić od 2—8 stopni Celzjusza, w przeciwnym razie ziemniaki łatwo się psują, już to wskutek przemarznięcia, już to dzięki wyższej temperaturze. Dlatego to piwnica nie powinna być za zimna, czy za ciepła. W piwnicy przechowywać trzeba ziemniaki w warstwach niegrubych, inaczej bowiem mogą się zagrzać. Zwykła wysokość powinna wynosić około 1 m. Dobrym sposobem przechowywania ziemniaków jest ich kopcowanie. Kopce robimy szerokie na 1.50 do 2 m., wysokie do 1 m. Pod kopiec wybieramy miejsce suche, przepuszczalne. Wgłębienia robimy nie zbyt wielkie; lepiej sypać ziemniaki na powierzchnię ziemi, aby je uchronić przed wodą zaskórną.

Przykrywa się kopiec najpierw słomą (na 10 do 15 cm.), na którą dodajemy ziemię z początku na to w tym celu, by wilgoć mogła wyparować (to znaczy jej nadmiar), chyba że pada deszcz; wówczas przykrywa się 15 do 20 cm. grubo. Szczytu kopca nie przykrywamy na razie.

Gdy ziemniaki stracą nadmiar wilgoci, wówczas przykrywa się je drugą warstwą słomy i ziemi (około 35 cm. grubo). Ustawiane w kopcach przez gospodarstwa drobne kominki nie zawsze są potrzebne, zwłaszcza gdy ziemniaki wypocą się należycie, czyli stracą zupełnie nadmiar wilgoci; mają one zresztą tę wadę, że para wodna skrapla się w nich, co może spowodować psucie się ziemniaków.

Lepszem już jest urządzenie kanałów powietrznych, które robi się warstwą słomy (pierwszą), wówczas kładzie się na szczyt kopca drąg drewniany, dłuższy od kopca i przykrywa się go słomą (prostą), na którą daje się ziemię (10 cm.), po tej czynności wyciągamy drąg, po którym pozostaje kanał powietrzny, pozostawiany przez całą zimę.

Aby zabezpieczyć ziemniaki od mrozu, zatykamy otwory kanału słomą przed nastaniem mrozów. W dnie cieplejsze wyciągamy słomę z otworów kanału w celu przewietrzenia.

Warunkiem dobrego przechowywania ziemniaków w kopcach jest należyte obeschnięcie ziemniaków, co można robić już po usypaniu kopca, który zostawia się przez pewien czas jesienny nieprzykryty, aż słońce i wiatr nie obsuszą ziemniaków. Wydostawanie się powietrza stęchłego, wilgotnego z otworów kanału lub kominka oznacza, że ziemniaki się grzeją.

Najgorzej przechowywać ziemniaki w dołach, z których trudno wyparować nadmiar wilgoci, gdyż ziemniaki zsypane są zwykle w grubej warstwie. Nadto wodą zaskórna może się dostać do takiego dołu.

Poradnik kucharski.

Uszka do barszczu. Kwaterkę mąki posolić, zagnieść z jednem jajkiem i troszką letniej wody. Wyrobić ciasto niezbyt twardo i niezbyt miękko, rozwałkować, pokrajać w małe kwadraciki, nakładać farszem, zlepiać i łączyć końce ze sobą, by naśladowało uszko. Mięso przeznaczone na farsz zemleć, przysmażyć na maśle i zrumienionej cebulce, dać kawałek namoczonej i z wody wyciśniętej bułki, posolić, popieprzyć i wymięszać z mięsem, zasmażyć, a gdy przechłódnie, robić uszka, zagotować w kipiącej wodzie i wydać na stół z barszczem.

Uszka z grzybków. Ciasto zrobić jak poprzednio. Farsz z grzybków robi się w następujący sposób: Przysmażyć łyżkę masła z cebulką, dać do tego ugotowane i zmielone grzybki, przysmażyć, posolić, popieprzyć i dać kawałek namoczonej i z wody wyciśniętej bułki, przysmażyć ponownie i robić uszka jak poprzednio. Uszka te podaje się do barszczu lub zupy grzybowej.

Kluski z grysiku. Łyżkę masła utrzeć z 2 żółtkami, dać pianę z 2 białek, posolić, wsypać 4 łyżki grysiku, dobrze wymięszać i zostawić tak na godzinę, poczem dać zielonej, drobno siekanej pietruszki i kłaść na gotującą się wodę lub rosół.

Kluski francuskie. Kluski francuskie, robi się w ten sam sposób, co kluski z grysiku, lecz z tą różnicą, że zamiast grysiku sypie się mąkę uważając, żeby ciasto było niezbyt wolne i nie twarde. Wkładać łyżką do wody, gotować pod pokrywką, a wtenczas będą pulchne.

Kluski wątrobiane. Łyżkę masła i 2 żółtka utrzeć na misce, posolić dodać 2 łyżki usiekanej i przez sito przetartej wątroby cielęcej lub z drobiu, dodać pianę, wymięszać, dosypać tartej bułki i kłaść małe kluseczki na wodę lub wprost na rosół.

Kluski z grzybkami. Robią się w ten sposób co kluski wątrobiane z tą różnicą, że zamiast wątroby, daje się drobniutko usiekanych grzybków.

Kaszka w kostkę. Grysik, lub kaszkę krakowską ugotować w posolonej wodzie, na niezbyt twardo, gdy ugotowana, rozciągnąć łyżką na poprzednio zmoczony półmisek, a gdy wychłudnie krajać w kostkę i dać do wazy.

KRONIKA.

Od Administracji. Wszystkich Prenumeratorów kwartalnych prosimy o rychłe odnowienie prenumeraty na IV kwartał b. r. celem uniknięcia przerwy w dalszej przesyłce „Roli".

Szajka morderców w Trzcianie. W gminie Trzciana koło Rzeszowa, w której znajduje się pałac baronowej Ludgardy Christiani, popełniono trzy zagadkowe morderstwa. Mianowicie 16 lutego 1922 r. w zagadkowy sposób zginęła Chana Goldberg, tamtejsza szynkarka. Dnia 2 marca 1923 roku na ulicy wieczorem zamordowany został Piotr Kawalec, tamtejszy komisarz rządowy, któremu sprawca siekierą zadał kilka uderzeń w głowę. Wreszcie dnia 8 czerwca 1924 roku w ten sam sposób siekierą został zamordowany Wiktor Szczepan, funkcjonarjusz kolejowy na stacji. Mimo dochodzeń policyjnych, długo prowadzonych, wszystkie te trzy morderstwa nie zostały wyjaśnione, a morderców nie można było wytropić. Toteż odnośne akta ciągle jeszcze nie były załatwione. Dopiero znowu teraz sprawami temi zajął się nowy komendant powiatowy policji państwowej, komisarz Michalecki. Zainteresowany niewykryciem sprawców, począł sam prowadzić śledztwo i ostatecznie wpadł na trop morderców, przychodząc do zastraszającego wyniku. Gdy ustalił winę odnośnych osobników, wszystkich aresztował. Są to obywatele gm. Trzciana: Jan Draus, były naczelnik gminy, kandydat na posła i wójta ze strony P. S. L. Piasta; syn jego Ludwik Draus; zięć jego Stanisław Dziedzic, pisarz gminny; Andrzej Draus, właściciel restauracji i radny gminny; oraz Franciszek Łagowski, kolejowy przetokowy i radny gminny. Śledztwo obecnie wykazało, że aresztowani zamordowali Goldbergową dlatego, gdyż ona wiedziała o ich rabunkach, dokonanych w pałacu Christianich w czasie inwazji rosyjskiej. Była zatem dla nich niewygodnym świadkiem. Po zamordowaniu ciało Goldbergowej zakopali, poczem na tem miejscu Dziedzic postawił stodołę. Kawalca, komisarza rządowego, który był popularną osobistością i miał być wybrany wójtem, a stał Drausom na przeszkodzie w zaszczytach, zamordował Dziedzic z Ludwikiem Drausem. Zrabowaną wówczas zamordowanemu srebrną papierośnicę obecnie policja w czasie rewizji znalazła u Ludwika Drausa. — Wreszcie kolejarza Szczepana zamordowano z tej przyczyny, że on, podejrzewając Drausów i Łagowskiego o zamordowanie Goldbergowej, ciągle tą sprawą interesował się i każdej chwili mógł morderców zdradzić. Aresztowanych policja odstawiła do sądu w Rzeszowie, — gdzie też odbędzie się wkrótce sensacyjna rozprawa.

Krzyk z grobu. Z Lublina donoszą: W Międzyrzeczu pow. bialskiego zdarzył się ciekawy wypadek snu letargicznego, który omal nie stał się powodem pogrzebania żywcem 21-letniego Motela Lejby Katcewa. Przebieg tego wypadku był następujący: Katcew poczuł pewnego dnia senność i duże osłabienie; wszedł więc do pobliskiej stajni niejakiego Goldmanna, położył się na słomie i natychmiast zasnął. Po upłuwie doby do stajni wszedł Goldmann i znalazł swego gościa w stanie bezwładu, leżącego bez oznak życia. Miejscowy felczer skonstatował śmierć. Nazajutrz miał się odbyć pogrzeb. Po przybyciu na cmentarz nieboszczyka obmyto według rytuału żydowskiego i przystąpiono do grzebania zwłok. W chwili, gdy spuszczono zwłoki do dołu i na nieboszczyka spadła pierwsza łopata ziemi, ten ocknął się i spojrzawszy w górę krzyknął: „Precz stąd draby!" Na ten widok tłum w szalonym popłochu i strachu rozbiegł się na wszystkie strony. Po dłuższej chwili rodzina rzeko-

mego zmarłego wróciła na cmentarz i wyciągnęła go z grobu. Przybyły lekarz skonstatował stan letargiczny, który trwał trzy dni.

Spalenie się trojga dzieci. (J. Cz.) Do czego doprowadza pozostawianie dzieci bez nadzoru, świadczy najlepiej wstrząsający wypadek, jaki się zdarzył w gminie Wójtowa pow. Gorlice, którego ofiarą padło troje nieletnich dzieci. Oto w gospodarstwie Jana Głowakiewicza, w przysiołku Sośniny, suszono śliwy w ogrodzie, dla którego to suszenia był postawiony szałas, czyli tak zwana buda, służąca jako schronisko przed deszczem i wiatrem dla pilnującego suszenia. Dnia 5 b. m. w południe dwoje dzieci Słowakiewiczów: chłopiec 4-letni i dziewczynka 6 letnia i z sąsiedniego domu 4-letnia córeczka Tadeusza Chwastowicza, bawiąc się razem, weszły do tej budy, w której też było urządzone legowisko ze słomy, i wznieciły ogień, który ogarnął natychmiast troje maleństwa.



Przybiegli ludzie zastali tylko dopalające się zwłoki, trudne do rozpoznania. Łatwo sobie wyobrazić rozpacz rodziców nad zwęglonemi ciałami swych najukochańszych dziatek, niedawno pełnych wesołego życia i energji młodzieńczej, które z nieświadomości tak męczeńską śmierć sobie zgotowały. Oby ten tragiczny wypadek był przestrogą, aby dzieci od kolebki począwszy były pod należytym dozorem.

Niezwykła katastrofa lotnicza. Z Grudziądza donoszą: Onegdaj z lotniska w Grudziądzu wystartował kpt. Kozubski na samolocie myśliwskim w celu dokonania lotu ćwiczebnego. Pilotując na wysokości tysiąca metrów, nackoło dworca towarowego, lotnik wykonał kilka t. zw. loopingów, wskutek których w samolocie zerwały się okucia, przyczem zbiornik z benzyną oderwał się i spadł. Mimo tego lotnikowi udało się utrzymać równowagę i szczęśliwie wylądował. Natomiast zbiornik z benzyną spadł na dach fabryki papy firmy Wentzke i Duday, następnie zsunął się na podwórze i tam eksplodował. Wskutek eksplozji dwaj robotnicy, zajęci na podwórzu fabryki, odnieśli ciężkie obrażenia. Ponadto runęła jedna ze ścian hali fabrycznej, zniszczone zostały całkowicie urządzenia transmisyjne, przewody elektryczne, wypadły wszystkie szyby, oraz wybuchł pożar, który jednak straż ogniowa wkrótce stłumiła. Szkody wynoszą około 500.000 zł. Rannych robotników odwieziono do szpitala miejskiego.

Tragedja staruszki. Z Warszawy donoszą: W Warszawie mieszka od 10 lat arystokratka rosyjska Anastazja Smirnowa, której majątki w Rosji dosięgały przed rewolucją bolszewicką do sumy 30 miljonów rubli. Rewolucja rosyjska wypędziła Smirnową wraz z córką z kraju. Obie jednak kobiety wywiozły z Rosji poważną ilość pieniędzy i kosztowności. Urządziły się też w Warszawie wcale wygodnie, wynajęły pałacyk przy Alejach Ujazdowskich, gdzie otoczone były szerokim kręgiem służby, a nawet kilku „frejlin dworskich". Po dwu latach wystawnego życia, brylanty i pieniądze stopniały jednak tak dalece, że zmuszone były przenieść się do 3 pokoi swego mieszkania przy ul. Sosnowej. Arystokratka rosyjska wyzbywała się bez żalu wszystkich klejnotów z wyjątkiem jednego: djademu z granatów, który otrzymała, wychodząc zamąż, z rąk żony cara. Staruszka uważała, że klejnot ten przedstawia olbrzymią wartość pieniężną. Głód, nędza i choroba przełamały jednak pietyzm staruszki do djademu. Poszła onegdaj do lombardu miejskiego, przyniosła djadem starannie owinięty w gałganki. Taksator spojrzał na djadem i orzekł krótko:

— Granaty wyszły z mody, nie przyjmiemy ich nawet za 50 złotych...

Klejnot wypadł z drżących palców arystokratki i potoczył się pod ladę lombardu. Staruszka wybiegła na ulicę i kupiła w aptece esencji octowej i otruła się w bramie jakiegoś domu. W starej łachmaniarce nikt z ulicznej gawiedzi nie poznał byłej miljonerki i damy dworu, Anastazji Smirnowej...

Bójka na odpuście. We wsi Tulejowie, powiecie radzymińskim, odbywał się w niedzielę odpust przy tłumnym udziale mieszkańców sąsiednich wsi. Po uroczystościach odpustowych tłum oblegał stragany, karuzele i huśtawki, a część zapijała się na umor w miejscowym zajeździe. Tutaj pod wpływem alkoholu przyszło do bójki, w której uczestniczyło około 150 osób. Na czele jednej z grup walczących stał młody człowiek, przybrany w mundur i czapkę ułańską, który z obnażoną szablą w ręce zagrzewał bijących się do walki. Kiedy dwaj posterunkowi chcieli go uspokoić, człowiek ten, jak się okazało następnie, dezerter z 7 pułku ułanów, stawił czynny opór i pchnął jednego posterunkowego szablą w ramię. Posterunkowi dali wtedy kilka strzałów na postrach, lecz to nie poskutkowało, i dopiero przybycie silnego oddziału policji na pomoc przywróciło spokój.

Grzechy za dolara. Autobus, przepełniony pasażerami, jechał z Lublina do Zamościa. Rej pomiędzy pasażerami wodził pewien młodzieniec, ubrany w eleganckie palto i pierwszorzędny kapelusz. Młodzieniec zwrócił uwagę na poważnego patrjarchę z długą, siwą brodą, który zupełnie nie brał udziału w ogólnej rozmowie, siedział posępny w kącie autobusu i kiwał się miarowo nad modlitewnikiem, rozłożonym na kolanach, Minę miał mocno zmartwioną i z jego piersi wydobywały się bolesne westchnienia.

— Panie, czem pan się tak smuci — zagadnął osowiałego patrjarchę wesoły młodzieniec.

— Uj, jak ja się nie mam smucić — odparł posępny brodacz — przecież zbliża się sądny dzień, a człowiek przez cały rok niemało grzechów popełnił. Ciężko na sumieniu...

Młodzieńcowi błysnęła genjalna myśl: przecież tu można zarobić... Rzekł więc do starca:

— Widzę, że pańskie grzechy są ciężkie. A na jaką też sumę pan je ocenia?

Patrjarcha w lot zrozumiał intencję młodego człowieka, uśmiechnął się chytrze i odparł:

— No, za 25 zł. to jabym te grzechy odstąpił.

Młodzieniec zgodził się bez namysłu.

— Dawaj pan 25 zł.! Biorę te grzechy — zawołał.

Lecz znalazł się niespodziewany konkurent. Jakiś inny młodzieniec chciał przyjąć grzechy starca za 20 zł. Rozpoczęła się więc licytacja in minus. W wyniku jej pierwszy młodzieniec utrzymał się przy konkurencji i nabył grzechy patrjarchy za 1 dolara. Młodzieniec otrzymał dolara i przez uroczysty uścisk dłoni przejął na siebie grzechy. Patrjarchą, który w ten sposób oczyścił

się z grzechów, był Chaim Mandelblitz, znany kupiec zbożowy z Zamościa.

Wbici na pal. Donoszą z Brześcia: Doprawdy, że dzieją się tak straszne historje, iż wydają się wprost niewiarygodne, gdyby nie potwierdziły ich akta policyjne i sądowe. Na weselu we wsi Podgórze gm. Szczorse, wojew. Nowogrodzkie, w domu Nikity Komety, który wydawał swą córkę Hannę za bogatego i ładnego chłopca — Dyonizego Fabija, bawiono się bardzo wesoło, tańcząc do upadłego. Wreszcie komuś przyszła dzika myśl, aby muzyka przeniosła się na środek ulicy i aby... tańczono na rękach. Naturalnie myśl taka nie znalazła aprobaty i na tem tle powstała sprzeczka. — Szczególnie przeciwko takiej zabawie na ulicy, w dodatku w negliżach, zaoponowali najwięcej trzej bracia: Filip, Grzegorz i Nikita Zmitruszko. Orszak weselny postanowił zemścić się na braciach Zmitruszkach i gdy ci nie przyzwalali, aby rozneglizowane towarzystwo przy pijackich harcach wyprawiało przed domem weselnym na ulicy sprośne zabawy, rzucono się najprzód na Filipa Zmitruszkę, wywleczono go na ulicę i wsadzono go na kół, na którym mocno krwawiąc omdlał z bólu i upływu krwi. Gdy przybiegł go bronić drugi brat Nikita, weselnicy mocno podchmieleni — porwali i jego z dzikim śmiechem i wsadzili na specjalnie zaostrzony drugi kół. W tym czasie ktoś litościwszy dał znać o tem trzeciemu bratu dwóch ofiar, Grzegorzowi Zmitruszko. Gdy i ten chciał biec na pomoc do policji, ściągnięto go za nogi z konia i po chwili spotkał go ten sam los, co i dwóch innych.



Gdy wreszcie przybyła policja — wszyscy trzej bracia Zmitruszko kończyli życie w strasznych mękach. Niezwłocznie aresztowano głównych sprawców tego potwornego morderstwa, w osobach mieszkańców wsi Szare Koło: Grigorija Kraskowskiego, Iwana Szymbora, Pawła Sieratko i Piotra Bondara. Inni mordercy narazie zbiegli, lecz wkrótce poszukiwani przez obławę, zostali zatrzymani w polach i w stodołach w liczbie kilkunastu osób i pod silną eskortą odwiezieni do Nowogródka, gdzie przekazano ich władzom sądowym.

Krwawa walka z cyganami. W małej wiosce słowackiej Podejin, pod Waguihelly przyszło do krwawej walki między cyganami i mieszkańcami wioski. — W pobliżu wsi znajduje się obóz cygański, w którym koczuje około 150 cyganów. Między cyganami a mieszkańcami wioski panowały naprężone stosunki, ponieważ cyganie żyli przeważnie z kradzieży. Prócz tego cyganki zachowywały się nieprzyzwoicie, co oburzało wielce kobiety wiejskie. Niedawno trzech cyganów zostało na gorącym uczynku kradzieży schwytanych i aresztowanych. Towarzysze ich grozili, że całą wieś puszczą z dymem. I rzeczywiście wkrótce potem w dwóch stodołach wybuchł pożar. W niedzielę i poniedziałek odbywał się w wiosce jarmark, po którym mieszkańcy urządzili ekspedycję karną na obóz cygański. Uzbrojeni w kosy, widły, cepy i t. d. napadli w nocy na cyganów. Przyszło do krwawej rzezi, w czasie której pięciu cyganów — w tem trzy kobiety i 6-letnie dziecko — ponieśli na miejscu śmierć. Dwie kobiety cygańskie dogorywają, zaś siedm ciężko rannych cyganów przewieziono do szpitala w Trenczynie. Żandarmerja próbowała wprawdzie interwencji, jednakże okazała się bezsilna. Wśród napastników znajdują się członkowie najbogatszych i najwpływowszych rodzin wioski. Ekspedycję karną prowadził sam naczelnik gminy. Matka zabitego dziecka opowiada, że jeden z wieśniaków wydarł jej dziecko z rąk i w jej oczach zamordował. Na miejsce krwawej masakry wysłana została urzędowa komisja śledcza.

Niezwykłe małżeństwo. Donoszą z okolic Miskolcz o niezwykłym ślubie, który miał miejsce w ostatnich dniach. 23-letnia wieśniaczka Irma Ujj poślubiła mordercę swego ojca Józefa Drotosa. Przed 19 laty 22 letni Józef Drotos zamordował Ludwika Ujj za namową żony, a swojej kochanki. Młody człowiek wraz ze swą kochanką został skazany na długoterminowe ciężkie więzienie. Z powodu wzorowego sprawowania się w więzieniu, został Drotos wypuszczony przed kilkoma tygodniami na wolność. Powrócił on do swej rodzinnej wioski, gdzie poznał córkę zamordowanego. Między dwojgiem ludzi zawiązało się bardzo głębokie uczucie. — W ten sposób młoda wieśniaczka poślubiła mordercę swego ojca i kochanka swej matki.

Kara śmierci lub trąd? Na Łotwie zaproponowano pewnemu skazańcowi nazwiskiem Kirschtein, by zgodził się na zaszczepienie sobie bakterji trądu, wzamian za ułaskawienie go od kary śmierci. Profesor uniwersytetu ryskiego Sniker, będący autorem tego projektu, jest zdania, że proponowany eksperyment będzie z korzyścią dla nauki, ponieważ wykaże, iż trąd jest, jak twierdzi, uleczalny. Niemniej jednak skazaniec namyśla się, czy nie poddać się zwykłej egzekucji. Pierwszy wypadek zaszczepienia trądu dla celów naukowych zdarzył się niedawno na wyspach Hawajskich i już wtedy z wielu stron podniosły się głosy piętnujące barbarzyństwo tego rodzaju metod naukowych.

Sztuczny człowiek. Przed kilkoma dniami odbyło się w Londynie otwarcie wystawy inżynieryjnej, na której wystawiono sporo eksponatów z dziedziny współczesnej techniki. Uczestnikom uroczystości otwarcia wystawy sprawiono wielką niespodziankę. Mianowicie organizatorzy wystawy — związek inżynierów — zbudowali sztucznego człowieka, który chodzi, rusza rękoma, wogóle wykonuje wszelkie czynności przy pomocy zainstalowanych w jego „organizmie" przewodów i motorów elektrycznych, sterowanych z odległości. Ponadto umieszczono we wnętrzu sztucznego człowieka głośnik, tak, że można przy użyciu aparatury radjowej podawać przez jego usta dźwięki mowy ludzkiej. Otóż ku ogólnej sensacji, sztuczny człowiek dokonał otwarcia wystawy inżynierskiej, a następnie stanąwszy na podjum, wygłosił okolicznościowe przemówienie. — Jak tak dalej pójdzie, to może nawet z czasem sztuczny człowiek się ożeni.

154-letni rozwodnik. Najstarszy człowiek na świecie, mieszkający w Konstantynopolu — Turek Zaro Agha — zamierza zawrzeć nowy związek małżeński. Winę tego ponosi król Afganistanu, który podczas swej obecności w Konstantynopolu ofiarował większą sumę na ubogich. Z pieniędzy tych Zaro Agha otrzymał około 2.500 złotych, których jednakże nie użył na polep-

szenie swego bytu materjalnego, lecz zaniósł je do adwokata rozwodowego. Zamierza on bowiem rozwieść się ze swą 90-letnią Suleimą i poślubić młodą Fatmę, która podobno z tęsknotą czeka na chwilę, gdy będzie mogła zostać dwunastą żoną 154-letniego młodzieńca.

Oryginalny testament. W tych dniach zmarł w Madrycie wielki bogacz i niemniejszy oryginał Don Jose Huttanso. Na otwarcie testamentu zjechało około 200 krewnych ze wszystkich stron Hiszpanji. Każdy przypuszczał, że on właśnie będzie tym szczęśliwym wybrańcem losu. Ale omylili się wszyscy. Don Huttanso rozporządził swym majątkiem następująco: „Moją duszę, z którą za życia miałem wiele kłopotu, zapisuję djabłu. Może on coś pożytecznego z niej wykrzesa. Ponieważ wiem, że obrabianie mej duszy przysporzy mu wiele przykrości, zapisuje mu w nagrodę za tę beznadziejną pracę także moją wilę. Proszę zatem umieścić na fasadzie wili napis. „Djabłu na pamiątkę, wdzięczny Huttanso“. Życzę sobie, by do wili prócz mego służącego nikt więcej nie wchodził. Żebyście jednak nie myśleli, że jestem zupełnie potępioną istotą, zapisuję trzy czwarte mego wielkiego majątku biskupowi miasta Sewili. Chciałbym, żeby za to odprawił mszę za moją duszę“. Resztę majątku zapisał ubogiej krawczyni, którą kiedyś za młodu gorąco kochał.

Masowa chłosta chłopów. Na wszechzwiązkowej konferencji redaktorów sowieckich znany komunista Mołotow potwierdził wiadomość o masowej egzekucji nad włościanami trzech wsi w okręgu wotjackim, autonomicznego obwodu (koło Wjatki). Chłoście publicznej poddano 300 mężczyzn i kobiet. Chłosta odbywała się w dwóch punktach, przed szkołą, gdzie bito młodzież do lat 18 i na placu straży pożarnej, gdzie bito dorosłych. Część młodzieży męskiej stawiła zbrojny opór. Po rozbrojeniu, chłostano ich do omdlenia. Powodem masowej egzekucji był stosunkowo drobny wypadek nienaprawienia drogi we wskazanym terminie.

Małżeństwo na odległość. Miss Mercedes Gleitze, słynna pływaczka, która przepłynęła kanał La Manche, wychodzi obecnie zamąż za prostego szeregowca armji angielskiej. Narzeczeństwo to ma niezwykle oryginalną historję, albowiem miss Mercedes i jej narzeczony nie widzieli się dotychczas nigdy. Pokochali się i zaręczyli na odległość — listownie. Młody żołnierz zdąża obecnie do Blackpoolu, gdzie ma spotkać się ze swą narzeczoną. Miss Gleitze, która obok swej sławy sportowej posiada wiele wdzięku i duży majątek, miała do wyboru 3000 kandydatów. Listy prostego żołnierza, Williama Forance, pisane z Indyj do sportsmenki, której podobizny zamieszczono w pismach ilustrowanych, tak jej przypadły do gustu, że wybrała właśnie jego.

— Może to się komuś wyda dziwaczne i idjotyczne — rzekła miss Mercedes do przedstawicieli prasy,— ale ja wiem, że nie pomyliłam się i od chwili, gdy go zobaczę, zacznie się nowa era w mem życiu. To jest mój typ! Tak mówi mi serce, a serce nie myli się nigdy...

RZECZY CIEKAWE.

Pochodzenie nazw stanów.

Każdy stan Ameryki Północnej ma swoją nazwę. Pochodzenie ich jest następujące:

Stan Alabama — po indjańsku „tu spoczywamy“. Arkansas — indjańskie „kansas“ — dymiąca woda i francuskie „arc“ łuk, zgięcie. California — hiszpańskie „Calieute Fornalea“, gorący piec. Colorado — hiszpańskie kolorowy. Connecticut — indjańskie — długa rzeka. Delaware — nazwisko lord Delaware, Florida — hiszpańskie kwiecista. Georgia — od króla Jerzego II. Illinois — indjańskie „illimi“ ludzie i końcówka francuska ois. Indiana — kraj Indjan. Iowa — indjańskie, piękny kraj. Kansaes — indjańskie dymiąca woda. Kentucky — indjańskie ciemny i krwawy kraj. Louisiana od króla Ludwika XIV. Maine od prowincji francuskiej tegoż imienia. Maryland na cześć Marji, żony króla Karola I. Massachusets — indjańskie — miejsce wielkich pagórków. Michigan — indjańskie, sieć na ryby. Minnesota — indjańskie błękitna woda i Mississipi — indjańskie wielki ojciec wód. Misouri — indyjskie, błotnisty, Nebraska — indjańskie dolina wód. Nevada — hiszpańskie, pokrywa śniegiem. New Hamshire od Hrabstwa Hampshire w Anglji. New Jersey od wyspy Jersey w Anglji. New York na cześć księcia Yorku. Obydwie Karoliny na cześć Karola IX. Ohio — indjańskie, piękna rzeka. Oregon od hiszpańskiego oregano, dzika roślina rosnąca na brzegu morza. Pensylvanja — kraj lasów Penna. Rhode Island przez podobieństwo do wyspy Rhodos w morzu Śródziemnem. Tennessee — rzeka z wielkiem zagięciem, indjańskie. Texas — pochodzenie nieznane. Vermont francuskie zielona góra. Virginia — na cześć Elżbiety, niezamężnej królowej Anglji. Wisconsin — staro-indjańskie i znaczy zebranie wód gorzkich.

Gdyby nie było śmierci.

Gdyby nie było śmierci, brakłoby miejsca dla życia, a jakie skutki pociągnęłoby za sobą pominięcie tego odwiecznego prawa przyrody, może najlepiej ilustrować poniższe zestawienie.

Przyrodnik angielski C. Edwards obliczył w przybliżeniu skutki niewymierania żadnego organizmu na ziemi w przeciągu kilku lat.

Mucha domowa w czasie roku znosi około dwudziestu kilku miljonów jajek. Gdyby z wszystkich wylęgły się doskonałe owady i żadna mucha nie zginęła, to po czterech latach nie mogłyby istnieć na świecie żadne oprócz much stworzenia. Owady musiałyby staczać zacięte walki, zabijając się wzajemnie.

Gdyby nie zginęły małe jętki, które żyją tylko dzień, w przeciągu dwóch lat utworzyły niebywałych rozmiarów bryłę, równającą się ciężarowi biljona ludzi.

Żaden okręt nie mógłby się swobodnie poruszać na morzu ani oceanie, gdyby w okresie 2 lat nie ginęły ryby. Ciała ich tworzyłyby zwartą masę i możnaby po ich grzebietach chodzić jak po moście. Pewnego dnia zgasłoby wreszcie zupełnie słońce w tem znaczeniu, że zasłoniłaby go chmura głodnego ptactwa. Ziemię pokryłyby wielkie warstwy grzybów. W niespełna w 4 do 5 lat znikłaby wszelka kultura, osiągnięta pracą ludzką na świecie, a niebywała katastrofa nastąpiłaby tylko wskutek naruszenia przyrody, jakim jest śmierć, nieodzowna dla życia.

Według opinji angielskiego badacza, świat przedstawiałby się niby jeden wielki szpital z domami przytułków dla zniedołężniałych starców, gdyby śmierć ich nie usuwała.

Przesądy o zającu.

Z pośród szeregu przesądów, związanych z historją zająca, najciekawszy jest ten, który każe wystrzegać się zajęczego mięsa, jako ujemnie działającego. Muzułmanom i żydom zabronione jest spożywanie po-

trawy z zająca. W Bretanji dawniej wystrzegano się jej również. Niegdyś używano zająca do rozmaitych celów lekarskich, naprzykład: popiół ze spalonego w całości zająca leczył odmrożenie, nacieranie krwią usuwało czerwoność i choroby oczu, zaś mózg wcierany w dziąsła niemowląt, ułatwiał ząbkowanie. Po przyłożeniu do rany futra zajęczego tamowało krew, a jego czaszka czyściła bieliznę i zęby. Przesądy te utrzymywały się jeszcze w niektórych wioskach francuskich, ale zanikają już coraz szybciej.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Włodzimierz Szwabowicz** w K.: Artykuł p. t.: „Uwierzmy w siebie" jest niejako streszczeniem pracy posła Zamorskiego. Temat dobry, ale należało opracować oryginalnie bez uciekania się do cytat z „Dziejowych przemian". Zagadki te są i czekają na swą kolej. — **Ludwik St. Unsing** w B.: Powieść wprawdzie przeciągnie się do końca roku, ale nową musimy mieć przygotowaną znacznie wcześniej. Prosimy więc o pośpiech. Dobrze? — **Marjan Skora** w W.: „Panorama jesienna" to obrazek, nawet miły obrazek, ale i nic więcej. A sam opis, choćby i najpiękniejszy bez jakiejś myśli głębszej, a jeszcze bardziej bez treści przewodniej nie zainteresuje czytelnika. — **Wł. Janczarek** w W.: Co do pożyczki to najprawdopodobniej udzieliłby jej Bank rolny w Lublinie, ale o to trzebaby się na miejscu popytać. Co się zaś tyczy zapisu, uczynionego przez ojca, to jeżeli warunki wszystkie były dotrzymane, nikt go obalić nie może. Oczywiście, gdyby to brat chciał uczynić, musi sobie Pan wziąć dobrego adwokata, bo w sądach samemu się bronić trudno. — **K. Bulandówna** w H.: Za miłe dla nas słowa uznania i my i Maciuś serdecznie dziękujemy. Kaśka chusty pierze, to teraz nie ma czasu. Później i ona się odezwie. — **Szymon Tadanier** w L.: Zagadki dobre. — **A. Galer** w K.: Adam Mickiewicz nigdy w życiu nie napisał powieści p. t. „Ogniem i mieczem". Uczynił to znacznie później Henryk Sienkiewicz. — **Wincenty Kuglin** w K.: Przesyłkę otrzymaliśmy. Wierszyk p. t.: „Słowikom naszym na „Roli" oryginalny i wesoły. — **Czytelnicy z Krościatyna:** Gdy tylko urząd pocztowy nam odpowie, natychmiast wniesiemy skargę na wójta do Starostwa w Buczaczu, który za doręczanie przesyłek pocztowych jest odpowiedzialny. Widocznie ktoś w gminie stale „Rolę" chce mieć bezpłatnie, bo co tydzień innemu przepada. Prosimy o cierpliwość. Przepadłe egzemplarze wszystkim trzem przesłaliśmy powtórnie. — **Emilja Jarmuła** w M.: Za zjednaną prenumeratorkę — dziękujemy, numer z czekiem posłany. — **Sylwester Tyndiuk** w O.: Takich związków koło Krakowa niema, są tylko Związki Strzeleckie. Numera okazowe z czekami posłaliśmy. — **January Wilk** w D.: Kalendarz wysłaliśmy. „Roli" wysłaliśmy trzy egzemplarze, czwarty osobno. Przypuszczamy, że to pierwszy i ostatni figiel poczty. O ile tylko dowiemy się, że ktoś ma do sprzedania aparat fotogr., to zawiadomimy. Za pozdrowienia serdecznie dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy. — **Jan Bober** w D.: Numera jakoteż i okładkę posłaliśmy. Za poparcie serdecznie dziękujemy i polecamy się nadal. Cześć!

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 5 października b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·04 do 1·65 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·60 zł.
Woły . .	od 1·00 do 1·71 zł.	Cielęta .	od 1·75 do 2·60 zł.
Krowy .	od 0·85 do 1·40 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·40 do 2·60 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·40 do 3·15

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Antoni Wrona).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Siłacz inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Nazwa miesiąca.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Zawód kobiety.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Budowniczy inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Robotnik udający się zagranicę
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Handlarz nabiału.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Zakład inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Żona króla polskiego.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Podobieństwo inaczej.

Litery pierwszego rzędu czytane z góry na dół dadzą tytuł powieści drukowanej w „Roli".

2. Szarady.

(Ułożył Włodzimierz Szwabowicz).

I.

Pierwsza z alfabetu litera
Drugą i pół trzeciej każdy wiersz zawiera
Reszta trzeciej, czwarta, piąta uczy moralności
Całość podstawą jest rachunkowości.

II.

(Ułożył Alfons Czader z S.).

Pierwsze, drugie, bez końca,
Żyją w wodzie, bez słońca;
W nocy na żer wychodzą,
W dzień w kryjówce się głodzą.
Drugi, pierwszy, pół trzeci,
Służy na wsi, wśród kmieci;
Pożytek z niego mają,
Konie go pociągają,
Trzecie, pierwsze, handlowo,
Opatrunku jest słowo.
Zaimek znaczy trzecie,
O tem wiedzieć możecie.
Całość sygnalizuje
I kierunek wskazuje.

III.

(Ułożył Alfons Czader z S.).

W sztucznych portach w całym świecie,
Stoją w morzach druie, trzecie.
Postępowa druga, czwarta,
Luksusowa, mało warta
Czwarta, pierwsza bez końcówki,
Często na nią dają „stówki".
Trzecie nutę w gamie znaczy.
Trzecia, czwarta, stół tłumaczy.
Całość słodka jest i znana,
W każdym sklepie sprzedawana.

3. Zagadka głoskowa.

(Ułożył Piotr Wenc).

Trzy wyrazy — jedno brzmienie.
Zmienisz jednak ich znaczenie
Gdy postawisz „k" na przodzie
Nie znajdziesz jej nigdy w wodzie.
Jest w gazecie, książce, dziele
W jaskiniach gry jest ich wiele.
Gdy mu „m" na czoło siędzie
Łatwo znajdziesz w imion rzędzie.
Gdy znów „w" będzie na przedzie
Wody z sobą w morze wiedzie.
Lecz trza zgadnąć rzeka która.
W tem jest sęk a w sęku dziura.

4. Łamigłówki.

(Ułożył Adolf Liebeskind z K.).

I.

Przez „r" zasięga się =
Przez „w" potępia się =

II.

Przez „k" dość miły bywa =
Przez „p" przy pracy spływa =

III.

Przez „b" odcinek w kwadracie =
Przez „s" napój, który znacie =

IV.

Przez „k" to zboże ścina =
Przez „r" lubi roślina =

V.

Przez „k" schowek dla pieniędzy =
A „m" ludzi żyje w nędzy =

Za dobre rozwiązanie wszystkich po wyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 20 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 40 „Roli": 1. Łamigłówka: Przełom pod Gorlicami. 2. Szarady: I. Narzekanie. II. Natan. III. Kuropatwa. IV. Materace. 3. Kwadrat magiczny: Emil, mace, Icek, leki.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Wł. Szwabowicz z K., Piotr Leśniak z M., Jan Gara z W., J. Cichoń z P.

Nagrody wylosowali pp.: J. Cichoń z P. i Piotr Leśniak z M.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Krakowiaczki.

Pytała się ziemba
Z żółtym dzióbem dzwońca
Do jakiego Polska
Dojdzie z Litwą końca.
Dzwonek przymknął oko
I gwizdnął wesoło:
— Nie może być końca,
Gdzie jest duże koło.

* * *

Gdy kród Aman Ullah
Miał do Moskwy dobić,
Nie wiedział pan Stalin,
Co z tym fantem zrobić.
Czy mu się pokłonić,
Czy okazać wzgardę —
W końcu wdział kołnierzyk
I krawat w kokardę.

* * *

A we Francji znowu
Niemcowi za karę
Wygrał przy wyborach
Rajmund Poincare.
Niemiec ma ochotę
Dać Bolszewji klapsa,
Że jej agitacja
Zeszła całkiem na psa.

Co może zależeć takiej wielkiej Rosji na przyjaźni z małą Litwą?

— W każdym dużym interesie zawsze jest potrzebny jakiś szabecgoj.



W szkole.

— Dyrdalski, powiedz mi, od czego pochodzi słowo „wygoda“?

— Od jagoda, panie profesorze.

— A to jak?

— Ja goda, ty goda, on goda, my goda, wy goda...

— Siadaj, Osiołkiewicz, co to jest zero?

— Zero, proszę pana profesora to jest punkt wzdęty.

— Siadaj! Dawidek Libergnat powiedz mi, co robi kura, jak siedzi na grzędze?

— On sobie myszli, co teraz jaja stanieli.

— Dobrze! Icek Gelbfish, powiedz mi, co to znaczy: wstyd i hańba?

— Wstyd i hańba to jest naprzykład wziąszcz kasę swojego pracowdawcy i dać się złapić...

Giełda płodów rolniczych

z dnia 5 października b. r.

Pszenica .	47·00—48 00	Słoma długa	12·00—13·00
Żyto .	36 50—37 50	Ziemniaki stoł.	10·00—11·00
Owies . .	35·00—36·00	Koniczyna na- sienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	33·50—34·00	Mąka żytnia	54·00—55·00
Fasola biała	00·00 – 00 00	Mąka pszen.	79·00—80·00
Groch zwyk.	00·00 - 00·00	Otręby pszen.	28·00—28·50
Siano słodk.	28 00 – 30·00	Mąka czerw.	32·00—33·00
Koniczpastew.	32·00—34 00		

Ceny rozumieją się zą towar średniej handl. jakości za 100 kg.